


HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LISTOPAD 2021/6

magazynhisteria.pl



DOM ZAGUBIONYCH WSPOMNIENIŃ
DWIE NOCE NAD JEZIOREM
GEHENNA
GLORIA PATRI
NIKCZEMNA WYPRAWA DR. SARXA
STARE KINO
STARZY ZNAJOMI ZAWSZE WRACAJĄ

SPIS TREŚCI:

| | | |
|-------------------------------|----------------------------|----|
| DOM ZAGUBIONYCH WSPOMNIENÍ | Małgorzata Lewandowska | 3 |
| DWIE NOCE NAD JEZIOREM | Aleksandra Taiga Dąbrowska | 9 |
| GEHENNA | Edward Strun | 19 |
| GLORIA PATRI | Sebastian Bartek | 26 |
| NIKCZEMNA WYPRAWA DR. SARXA | Ernest Smutalski | 42 |
| STARE KINO | Paulina Kajoch | 56 |
| STARZY ZNAJOMI ZAWSZE WRACAJĄ | Igor Kręć | 67 |

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Ilona Bielicka, Marcin Czarnecki, Małgorzata Siłkowska, Martyna Tuzikiewicz, Zvyrke

Korekta: Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



DOM ZAGUBIONYCH WSPOMNIEŃ

Małgorzata Lewandowska

Nie lubię, kiedy P. nie ma w domu. Nie chodzi tylko o jego fizyczną nieobecność przy mnie, ale o to, co się wtedy może zdarzyć.

Od kiedy sąsiedzi wyjechali i nie wiem, kiedy i czy wrócą, zostaję sama w trzypiętrowej kamienicy ze strychem. W ciągu dnia nie jest jeszcze tak źle, gdyż czasem ktoś pojawia się na zapleczu kwiaciarni, która znajduje się na parterze. Niestety nie dzieje się tak codziennie.

Nie zawsze tak było.

Jeszcze kilka miesięcy temu kwaciarnia „Szarotka” była otwarta od rana do późnego wieczoru przez sześć dni w tygodniu. W ciszy górnego piętra mogłam słyszeć dochodzące stamtąd głośne rozmowy okazjonalnie okraszane śmiechem. Mogłam także poczuć wciskający się przez szczeliny w podłodze szarosiny, suchy zapach papierosów. Tak, papierosów, nie kwiatów.

„Szarotka” nie była bowiem całkiem zwyczajnym miejscem, co jak mi się wtedy wydawało, zawdzięczała przede wszystkim swojej właścicielce oraz jej partnerowi. Waleria, bo tak miała na imię pani prowadząca sklep, była całkowitym zaprzeczeniem mojego wcześniejszego wyobrażenia o florystkach. Ubierała się tylko w czernie i szarości, bo jak mówiła, nie lubiła kolorów. Jej drobna sylwetka często wręcz ginęła w warstwach ciemnych materiałów. W takich momentach wyglądała jak lekko zagubione i zbuntowane krucze dziecko, które przebierało się w zbyt duże szaty rodziców.

Dodatkowo właścicielka „Szarotki” paliła tyle, że smród papierosów całkowicie dusił zapach codziennie przywożonych świeżych kwiatów.

Partner Walerii był myśliwym. Z zamiłowaniem polował zarówno na zwierzęta, jak i na okazje na pchlich targach. Później znosił do kwaciarni trofea: te łowieckie wyrwane lasom oraz fragmenty dziwnych starych rzeczy, z których nie wszystkie zachowały choćby przecucie pierwotnego przeznaczenia. Waleria powiedziała mi kiedyś, że kierowała nim nadzieja, a raczej złudzenie suto okryte przekonaniem o słuszności, że ktoś kupi te przedmioty, lub przynajmniej przydadzą się one do wzbogacenia jej kwiatnych kompozycji.

A ona jako dobra partnerka, nie chciała tej nadziei ani tych złudzeń zabijać.

Przyjmowała więc te wyrwane życiu i przeszłości dary, oplatała kwiatami, ubarwiała piórkami i błyszczącymi koralikami nabitymi niczym owady na szpilki. Niekiedy dodawała zwiewne wstążki, gałęzie i mech odarty specjalnie dla niej ze śpiących, leśnych kamieni.

To wszystko: ludzie, szarosiny dym, dziwne przedmioty oraz martwe części istot, nadawało sklepowi nie tylko specyficzny wygląd, ale i zapach złożony głównie z mieszanki dymu tytoniowego, futer i naftaliny. Ani ja, ani P., który kilka lat temu rzucił palenie, nie znosiliśmy tego „aromatu”.

Ale to już nieważne, to już przeszłość.

Waleria była wyschnięta jak jesienny liść, a jej poznaczona licznymi zmarszczkami, wyblakła twarz nałogowego palacza wskazywała na wiek pomiędzy czterdzieści plus a sześćdziesiąt lat. Pomimo otulającej ją szarości, ostrego nosa oraz drobnych cienkich ust, które zawsze przypominały mi wiedźmę z dziecięcych opowiadań, oczy kwaciarki

rozświetlały świat radością życia i życzliwością spotykaną tylko u tych dorosłych, którzy przeżyli więcej niż powinni, a pomimo tego nie dali się złamać bezwzględnej obojętności zmierzchu marzeń.

To właśnie przez to spojrzenie i włosy związane w kucyk przypominała mi czasem ciekawą świata dziewczynkę, która zbyt pochopnie podjęła decyzję o dorastaniu.

Tuż po tym jak się wprowadziliśmy, za każdym razem, gdy ją widziałam, a ponieważ dzieliliśmy klatkę schodową zdarzało się to przynajmniej dwa razy dziennie, Waleria robiła coś w sklepie. Plotła bukiety, przyjmowała dostawy, podlewała rośliny, tworzyła różnego rodzaju dekoracje i oczywiście sprzedawała towary klientom spragnionym ulotnego sensu nadawanego przez przemijające kolory kwiatowych płatków.

Dopiero teraz kiedy przypominam sobie tamten okres, widzę wyraźnie, że z każdym tygodniem i miesiącem kwiaciarka coraz bardziej gasła, znikła. Gubiła się pomiędzy rosnącymi warstwami ciemnych ubrań i coraz cięższą biżuterią, aż trzy miesiące temu nie pojawiła się w ogóle.

Dowiedziałam się, że trafiła do szpitala. Jakiś czas przed zniknięciem widziałam ją skurczoną na malutkim krzeselku ustawionym w kącie sklepu za starodawną kasą. Osnuwający ją dym zdawał się jeszcze gęstszy niż zazwyczaj. Okrywał szarością nie tylko jej twarz i włosy, ale i błysk w oczach.

Na moje pytania o samopoczucie odpowiadała jednak niezmiennie, z tym samym uśmiechem czającym się w kącikach cienkich ust, że wszystko jest w porządku.

Jak widać, podobnie do większości dorosłych, mijała się z prawdą.

Partner Walerii, który przedtem prawie codziennie przywoził ją do pracy i odwoził do domu, przez jakiś czas po jej zniknięciu pojawiał się w sklepie. Otwierał kwiaciarnię i starał się odciążać pracującą w zastępstwie właścicielki florystkę. Jednak w pewnym momencie on także przestał przychodzić. Z dnia na dzień wyglądał i czuł się coraz gorzej. Wszyscy zrzucaliśmy to wtedy na karb trosk.

Być może częściowo była to prawda.

Kiedy i on odszedł, pani pracująca w zastępstwie Walerii zaczęła segregować rzeczy w sklepie. Część wystawiła na sprzedaż po obniżonych cenach, część wyniosła na zaplecze, a część powrzucała w worki i wywiozła. Do końca kolejnego miesiąca przychodziła dwa razy w tygodniu zgodnie z rozpiską umieszczoną na drzwiach. Otwierała kwiaciarnię na kilka godzin, licząc, że ktoś kupi przecenione rzeczy.

Potem i ona przestała się tu pojawiać. A zamknięty sklep, którego szyby ktoś litościwie zakleił szarym grubym papierem, stał się pustą przestrzenią zachłannie wysysającą ciepło z górnych pięter.

Nawet pająki zdawały się uciekać z tej zimnej pustki. Wdrapywały się po balustradach i ścianach do leżących wyżej okien okrytych od czasu do czasu złocistym blaskiem słońca.

Kiedyś, wracając do domu, odważyłam się zajrzeć do środka nieczynnego już sklepu przez naderwany papier. Pochyliłam się i przymknęłam jedno oko. Półmrok panujący w środku na ułamek sekundy przypomniał mi o Walerii. Nawet uśmiechnęłam się kącikami ust, mimowolnie próbując naśladować florystkę. Jednak po chwili, gdy drugie oko przyzwyczało się do ograniczonej ilości światła i zaczęło wyławiać coraz więcej szczegółów panującej w środku martwoty, moja twarz stężała chłodem. Ta przestrzeń zdawała się nie należeć już nawet do wspomnień o wypełniającym ją kiedyś specyficznym świetle kwaciarni. Nagą podłogę okrywała dziwna czerń pustki, która zdawała się wdrapywać po ścianach, barwiąc je smugami mroczniejszymi od cienia.

Z początku zdawały się bezkształtne. Jednak... czy to figiel spleciony przez oko czy umysł, im dłużej na nie patrzyłam, tym bardziej wydawały mi się znajome i celowe. Jakby poszczególne bezsensowne plamy zaczęły spajać się ze sobą, nabierając wyrazu i głębi. Aż w końcu spojrzały na mnie otchłania.

Błyskawicznie odsunęłam się od szyby. Może zbyt szybko, bo mimo światła panującego na zewnątrz, ściemniało mi przed oczami.

Stałam przez chwilę, starając się uspokoić. Rozważałam, czy nie zajrzeć do środka ponownie. Przekonać się, że to był tylko nieśmieszny żart mojej wyobraźni... Zamiast tego, lekko drżącymi rękoma rozsunęłam suwak torby i wyciągnęłam klucze. Otworzyłam główne drzwi kamienicy i z wahaniem zagłębiłam się w szarości klatki schodowej. Zdałam sobie sprawę, że będę musiała przejść korytarzem oddzielającym główne pomieszczenie kwaciarni od zaplecza, aby dostać się do mieszkania. Mimowolnie wstrzymałam oddech, starając się nie patrzeć na ścianę, za którą znajdował się sklep. Mimo tego miałam wrażenie, że coś śledzi mnie przez grubego mur.

Nie oglądając się za siebie, przyspieszyłam więc kroku i wbiegłam po schodach na nasze piętro. Gdy wreszcie dostałam się do mieszkania, zatrzasnęłam za sobą drzwi i przekreśliłam klucz w zamku. Potem chwyciłam za klamkę, aby upewnić się, że drzwi na pewno są zamknięte.

I prawie zaczęłam się śmiać sama z siebie. Wystarczyło jednak, bym zrobiła kilka kroków. Pod naciskiem stóp stara podłoga zaśpiewała codzienną melodię drewnianych

skrzypień, a rodzące się we mnie rozbawienie obumarło strachem. Momentalnie otaczające mnie miejsce przestało być moim mieszkaniem.

Nie byłam już u siebie.

Stąpałam po nadgryzionym zębem czasu więzieniu czegoś, co zdało sobie sprawę z mojej obecności.

Następne kilka godzin spędziłam, siedząc na kanapie z podkulonymi nogami i czekając aż P. wreszcie wróci z pracy. Gdy tak się stało, próbowałam wyjaśnić mu to, co poczułam, ale żadne z wypowiedzianych słów nie brzmiało właściwie. Porzuciłam więc te pokracznie wyrażone zdarzenia sprzed kilku godzin na pastwę obśmiania i przewidzeń.

I prawie uwierzyłam w tę stworzoną dla P. wersję. Prawie. Gdyż wizja czegoś tajemniczego nie zniknęła z moich myśli. Jedyne zmieniła swoją postać. Z mrocznej głębi stała się zagubioną, opuszczoną przed dekady, tajemniczą istotą, która jedynie szukała zrozumienia. Próbowwała odnaleźć się w zmienionym świecie.

Kamienica, w której mieszkamy ma ponad czterysta lat i powstała na ruinach spalonego domu. Przed generalnym remontem, po którym się do niej wprowadziliśmy, piętro wyżej zamieszkali sąsiedzi, a na dole otworzono kwiaciarnię, budynek stał opuszczony przez ponad trzy dekady.

Wprowadziliśmy się dwa lata, jedenaście miesięcy i trzy dni temu.

Od kiedy się tu przenieśliśmy i zaczęłam pracować głównie w domu, staram się dokładnie liczyć czas. Mieszanka szarości z zinnem powoduje, że bez kontrolowania zegara i kalendarza dni skleją się w jedną długą, monotonną całość.

Świat zewnętrzny odgradzają od nas ponad siedemdziesięciocentymetrowej szerokości mury z cegieł i kamieni. Patrząc czasem na garnące się do szyb blade, wyciągnięte resztki roślin i czuję się jak one – desperacko pragnąc dotknąć słonecznych promieni.

Od kiedy zamknięto kwiaciarnię, domu w ogóle nie da się ogrzać. Próbowaliśmy, ale pochłania każdą, nawet najmniejszą cząstkę ciepła. Waleria mówiła, że ten chłód bije z piwnicy i wspina się po ścianach do wnętrz położonych wyżej mieszkań. Jesienią i zimą starała się ogrzewać trochę swój sklep, ale robiła to tylko dla klientów. Jak mówiła, chłód jest dobry dla ciętych kwiatów, bo dzięki temu dłużej zachowują świeżość. My, ludzie nawet latem chodziliśmy wewnątrz budynku w swetrach.

Wydaje mi się, że od momentu, w którym zajrzałam do nieczynnej kwiaciarni, dom próbował mnie ranić. Był zły, nie wiem czy dlatego, że ponownie jakaś jego część została opuszczona i zaniedbana, czy przeciwnie – dlatego, że przerwaliśmy jego spokój? Miałam wrażenie, że cieszy się z każdej kropli krwi, która upadła na podłogę.

Moja wiara w „zagubioną” istotę domu prawie została zachwiana. Prawie.

Potem zaczęłam palić dla niego świeczki i niemalże wszystko się uspokoiło. Łudzę się, że to ja go oswoiłam, ale być może to on oswoił mnie?

Zaczęłam też do niego mówić, szczególnie po tym, jak P. narzekał, że cały dom jest krzywy i beznadziejnie odremontowany. Głaskałam poręcze schodów i ściany, przeprasząc dom za te słowa; mówiąc mu, że jest piękny i przekonując, iż P. tak nie myśli, tylko odreagowuje stresującą pracę.

Dom chyba jednak nie lubi P., albo ma specyficzne poczucie humoru, bo czasem go straszy. Kiedy pewnego razu wyjechałam, P. spał z kijem bejsbolowym. Kupił też gaz pieprzowy. Wszystko przez to, że wydawało mu się, iż ktoś się włamał. Opisywał kroki, dziwne trzeszczenia i dźwięki, jakby coś się przesuwało i upadało.

Jednak w domu poza nim, nie było nikogo.

Teraz to P. musiał wyjechać na dłużej.

Po raz pierwszy zostałam tutaj całkiem sama na więcej niż kilkanaście godzin.

Poprzedniej nocy dom był cichy. Łagodnie, niczym troskliwy rodzic, ukołysał mnie do snu. Obudziłam się rano pełna energii. Szczęśliwa, że dom tak ładnie się zachował.

Tej nocy na początku było tak samo, zasnęłam bez problemów i wszystko było dobrze, tylko... nie wiem nawet jak to określić... leżałam w łóżku, miałam otwarte oczy, ale czułam się tak jakbym... jakbym nie mogła się w pełni obudzić.

Czasem mam sny we śnie i na początku myślałam, że to właśnie jeden z nich, że muszę się po prostu wybudzić; przejść przez kolejne warstwy mary, aż dotrę do tej, która nią nie jest. Próbowałam to zrobić już kilka razy, ale ciągle otwierałam oczy na tę samą rzeczywistość. Zawsze na zewnątrz jest szaro i zimno, a podłogę sypialni okrywa mrok.

Znowu.

I znowu.

I znowu próbuję wyjść z tego śnienia, i kolejny raz otacza mnie ta sama godzina pomiędzy nocą a świtem.

Powoli narasta we mnie lęk, że ranek już nie przyjdzie. Boję się, że tak już będzie zawsze. Zostanę w domu, zawieszona pomiędzy chwilami. Ulotna i rzeczywista jak cień ómy tuż przed spaleniem jej przez ogień.

I znowu próbuję się wyrwać. I znowu próbuję wstać. Jednak ponownie nie mogę się poruszyć. Mogę zaledwie otworzyć i zamknąć oczy. Moje ciało jest oplątane chłodem lodowego oddechu domu, który wnika we mnie, starając się sięgnąć po ostatnią ceną, ciepłą rzecz – moją duszę.



DWIE NOCE NAD JEZIOREM

Aleksandra Taiga Dąbrowska

Noc pierwsza

Posiadłość była dużo mniejsza niż sobie wyobrażałam. W zasadzie nazwałabym ją małym dworkiem, ale i tak jego widok zapierał dech w piersiach. Ogromne okna, ściany z czerwonej cegły, pompo mimo tego, że nadgryzione przez ząb czasu, to miały swój urok. Pomyślałam sobie, że pokoje muszą być pięknie oświetlone. Jednak największe wrażenie wywoływała zieleń, która otaczała budynek z każdej strony. Piękny ogród, las i ogromne

jezioro, wydawało mi się, że jestem w raju, bo nie przywykłam do takich widoków. Gdy kierowca zaparkował żółtego trabanta na podjeździe, wysiadłam pośpiesznie, a on zawołał za mną, że zapomniałam wziąć swoją torbę. Z ekscytacji byłam taka roztrzępana.

Przez najbliższe miesiące będę gosposią w tym uroczym domu. Moim pracodawcą jest podpułkownik Adam Niedziałkowski, pierwszy zastępca szefa wojewódzkiego urzędu spraw wewnętrznych. To zaszczyt pracować dla tak wysoko postawionego człowieka. Miałam wielkie szczęście, że na niego trafiłam.

Mój tata poznał go bodajże w jakimś barze albo knajpie, a gdy obywatel Niedziałkowski dowiedział się, że szukam pracy, postanowił mnie zatrudnić w swoim domu nad jeziorem. Dlatego gdy przyszedł do nas, wybałuszyłam oczy ze zdziwienia, bo już po jego prezencji jasne było, że jest prawdziwą personą.

Ręce mi się trzęsły przy nalewaniu herbaty do naszej najdroższej filiżanki kupionej w Pevexie. Rozmowa była przyjemna, podpułkownik wytłumaczył, że zatrudni mnie w roli sprzątaczk i opiekunki jego schorowanej żony. Nie chciał mi powiedzieć na co chorowała, więc nie dopytywałam. Powiedziałam, że moim największym marzeniem jest studiowanie prawa. Podpułkownik wypytał o moje oceny z liceum i obiecał, że jeśli będzie zadowolony z mojej pracy, to będę mogła pójść na studia. Myślałam, że popłaczę się ze szczęścia! Tata spojrzał na mnie z dumą.

W drzwiach powitała mnie pani Danusia, która jest kucharką. Spodobał mi się jej fartuch w kwiaty i misterny kok na głowie.

– Wreszcie do nas dotarłaś – powiedziała z promiennym uśmiechem. – Cieszę się, że w końcu widzę młodą twarz.

– Bardzo mi miło, proszę pani – odpowiedziałam nieśmiało. – Nazywam się Ewa Bajek.

– Jaka pani! Danusia jestem. – Uśmiech nie schodził jej z ust. Dzięki jej serdeczności poczułam się dużo pewniej.

Pani Danusia pokazała mi pokój, w którym miałam spać. Było to niewielkie pomieszczenie, ale przytulne i wygodne, jednak widok z okna po prostu odbierał mowę. Było widać jezioro w całej jego okazałości, poczułam jakbym była w jakimś ekskluzywnym hotelu. Postanowiłam rozpakować się jak najszybciej, by rozejrzeć się po okolicy.

Gdy wyszłam na korytarz, poczułam się zagubiona, bez pomocy pani Danusi trudno by mi było poruszać się po rezydencji samodzielnie. Na szczęście kucharka jakby czytając mi w myślach, wyłoniła się z jednego z licznych pokoi.

– Kochaniutka, przedstawię cię pani Małgorzacie. – Delikatnie położyła rękę na moim ramieniu i poprowadziła w stronę schodów. – Nie mów przy niej zbyt głośno, nie lubi wysokich decybeli. Musisz też być cierpliwa w rozmowie z nią, miewa momenty zawieszenia i nie należy jej pospieszać.

Zaprowadziła mnie pod ogromne drzwi, zapukała delikatnie i mimo braku odpowiedzi, otworzyła je i gestem zaprosiła mnie do środka. Ujrzałam kobietę siedzącą na bujanym fotelu, robiła coś na drutach i była tak pochłonięta tym zajęciem, że nawet nie zareagowała, gdy podeszliśmy z panią Danusią bliżej. Małgorzata była piękną kobietą, jednak pierwsze co rzucało się w oczy to bladość, skóra była wręcz biała, jednak nie ujmowało to jej urodzie. Zaskoczył mnie jej młody wygląd, gdyż podpułkownik Niedziałkowski zbliżał się do pięćdziesiątki, a jego żona wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia parę lat. Widocznie gustowała w dużo starszych mężczyznach. Dopiero dotyk pani Danusi oderwał ją od zajęcia.

– Pani Małgosiu. – Danusia mówiła bardzo cicho i powoli. – Przyszła do pani Ewa, nasza nowa gosposia.

Dopiero teraz pani Małgorzata na mnie spojrzała, miałam wrażenie, że jej ogromne czarne oczy przeszywają mnie na wskroś. Kobieta uraczyła mnie lekkim uśmiechem.

– Dzień dobry.– Ledwo słyszałam, co do mnie mówi. – Miło zobaczyć nową twarz, tak dawno nie mieliśmy gości.

Podobnymi słowami powitała mnie pani Danusia, widocznie od bardzo dawna nie było tu nikogo nowego, poczułam żal wobec pani Małgorzaty, musiała się czuć bardzo samotna.

– Dzień dobry – odpowiedziałam nieśmiało, starałam się mówić bardzo cicho. – Cieszę się, że mogę dla pani pracować, to zaszczyt.

– Ewa będzie się panią opiekować – wtrąciła Danusia. – To porządna dziewczyna, ze wszystkim sobie poradzi, prawda? – zwróciła się do mnie.

– Tak, oczywiście – opowiedziałam. – Zrobię co w mojej mocy, by pani pomóc.

– No to się przy mnie wynudzisz, dziecko. – Jej głos zniżył się niemalże do szeptu. – Na razie niczego nie potrzebuję, dziękuję.

Odwróciła ode mnie wzrok i wróciła do swojej robótki ręcznej. Pani Danusi skinęła lekko głową i zwróciła się w stronę drzwi. Gdy już opuściliśmy pomieszczenie, zwróciła się do mnie poważnym tonem.

– Biedna kobieta – westchnęła. – Musisz do niej czasami zaglądać i upewnić się czy czegoś nie potrzebuje, bo sama zapewne cię nie zawoła. Dwa razy dziennie przynos jej herbatę z rumiankiem.

– Dobrze. – Skinęłam głową. – Wspominała pani, że miewa ataki paniki, co mam wtedy robić?

– Najlepiej zostawić ją wtedy samą, dopóki się nie uspokoi. Zwykle samo przechodzi.

– Rozumiem. – Wcale nie rozumiałam, ale nie wiedziałam jak na to odpowiedzieć. Nigdy nie miałam do czynienia z osobą z podobnymi problemami.

– Oj, prawie bym zapomniała! – podniosła głos i zaczęła czegoś szukać w kieszeniach fartucha. – Pani Małgorzata często lunatykuje, więc na noc musisz zamykać drzwi do jej pokoju. – Wręczyła mi klucz z rzemykiem zamiast breloczka. – To dla jej bezpieczeństwa.

Wzięłam klucz do ręki, miałam masę pytań do pani Danusi, jednak nie chciałam być nachalna.

– No dobrze – powiedziała po chwili niezręcznej ciszy. – Ja idę do kuchni zrobić kolację. Mam nadzieję, że lubisz jajka z sosem chrzanowym?

Nie mogłam jej powiedzieć, że nienawidzę jajek, więc tylko kiwnęłam głową. Gdy kobieta poszła w swoją stronę, ja postanowiłam się rozejrzeć na zewnątrz. Widok zieleni bardzo mnie uspokajał. Postanowiłam pójść nad jezioro, które samym swoim widokiem wywierało na mnie ogromne wrażenie. Podeszłam bliżej, by zobaczyć w tafli wody swoje odbicie, gdy usłyszałam donośny męski głos.

– Lepiej nie zbliżaj się do tego jeziora. – Powiedział to mężczyzna, który mógł mieć około siedemdziesięciu lat, był opalony, a wokół jego oczu odznaczały się głębokie zmarszczki. Miał na sobie niebieski kombinezon, zabłocone gumowce i rękawiczki, więc domyśliłam się, że może być ogrodnikiem. Nic w tym dziwnego skoro posiadłość jest otoczona taką ilością drzew i roślin.

– Przecież jestem ostrożna – odpowiedziałam spokojnie. – Nie wpadnę do wody.

– Woda może być złudna – powiedział poważnym tonem, aż po plechach przeszły mi ciarki. – To jezioro nie jest bezpieczne, szczególnie dla takich smarkul jak ty. I żeby nie przyszło ci do głowy wałęsać się tu w nocy, bo źle się to dla ciebie skończy.

Zanim zdążyłam mu odpowiedzieć, odwrócił się na pięcie i odszedł, znikając za gęstymi krzakami. Nie wywarł na mnie najlepszego wrażenia, nawet mi się nie przedstawił. Wyglądał mi na typowego podstarzałego dziwaka wierzącego w przesady. Spojrzałam w krystalicznie czystą tafnię wody i nie wierzyłam, by jezioro było szczególnie niebezpieczne, bo

wydawało się dość płytkie. Jednak przestroga mężczyzny wywołała we mnie poczucie niepokoju, więc postanowiłam wrócić do pokoju, by rozpakować resztę rzeczy.

Przez resztę dnia nie działo się nic ciekawego. Przyniosłam kolację pani Małgorzacie, która cały czas siedziała w swoim fotelu. Była taka spokojna, że aż nie wierzyłam, że mogłaby wyjść ze swojego pokoju w środku nocy, po prostu nie mogłam sobie tego wyobrazić. Jednak zgodnie z zaleceniem pani Danusi, wieczorem zamknęłam drzwi na klucz.

Długo nie mogłam zasnąć, co było dziwne, bo nigdy nie miałam problemów z zasypianiem. Gdy poszłam do kuchni, by napić się wody, zaskoczyły mnie plamy na podłodze. Wyglądały jakby ktoś wdepnął w wielką kałużę i pozostawił za sobą szlak. Pomyślałam, że może pani Danusia coś rozlała i nie zdążyła posprzątać, postanowiłam zająć się tym rano.

Zanim położyłam się z powrotem w łóżku, podeszłam do okna, by jeszcze raz spojrzeć na jezioro. Im dłużej mu się przyglądałam, tym większy czułam niepokój. Nocą było w nim coś złowrogiego i od razu przypomniałam sobie słowa ogrodnika.

W pewnym momencie wydawało mi się, że kogoś widzę. Niewyraźna sylwetka pojawiła się między trzcinami. Próbowałam wyteńczyć wzrok i kształt postaci zaczął przypominać kobietę. Nie poruszała się, jedynie stała, jednak nie mogłam dostrzec, czy jest zwrócona w stronę jeziora, a może w moją? Zasłoniłam firanki, pomyślałam sobie, że wyobraźnia płata mi figle, a postać była zapewne jakimś krzewem lub czymś takim. Uczucie niepokoju długo nie pozwalało mi zasnąć.

Noc druga

Rano ledwie pamiętałam wydarzenia ostatniej nocy, uznałam, że to była tylko moja wyobraźnia. Gdy weszłam do kuchni, pani Danusia nakrywała do stołu, przy którym siedział ogrodnik.

- Dzień dobry – powiedziałam cicho, a ich spojrzenia skierowały się na mnie.
- A dzień dobry, kochanie! – odpowiedziała mi kobieta z szerokim uśmiechem.
- Dobry, dobry – burknął mężczyzna odwracając ode mnie wzrok.
- Siadaj i jedz ile chcesz, jesteś taka chudziutka – powiedziała z rozczulającą troską w głosie. – Poznałaś już Zenka?
- Mignęła mi gdzieś – wtrącił ogrodnik. – Ewa, ta?

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się blado, miałam wrażenie, że pan Zenon nie jest zupełnie zainteresowany konwersacją ze mną, więc usiadłam przy stole i nałożyłam sobie jajecznicę. Postanowiłam wypytać panią Danusię o plamy na podłodze.

– Pani Danusiu – zaczęłam niepewnie. – Czy wylała pani w kuchni wodę? Poszłam się napić, a podłoga była cała mokra.

Moje pytanie wywołało w nich konsternację, jakbym powiedziała coś nieodpowiedniego. Kobieta uciekała wzrokiem, jednak pan Zenon patrzył na mnie oniemiały, wydawało mi się, że w jego oczach zobaczyłam cień lęku. Po chwili pani Danusia odezwała się drżącym głosem.

– Tak... – zawahała się. – Stłukłam kubek i widocznie nie wytarłam wszystkiego. – Usłyszałam fałsz w jej głosie, zaczęła się nerwowo uśmiechać. Nagle odezwał się Zenon –

– Nie chodź po domu w nocy. – Jego ton był oschły, patrzył mi prosto w oczy. – Nie wychodziłaś na zewnątrz, prawda?

– Nie – odpowiedziałam speszona, czułam, jakbym zrobiła coś złego i rodzice mnie karcili. – Byłam tylko w kuchni, czy coś jest nie tak?

– W nocy może być tu niebezpiecznie – powiedział jeszcze bardziej szorstko. – Zwłaszcza w pobliżu jeziora, trzymaj się od niego z daleka, bo...

– Bo możesz wpaść do wody, kochanie. – Pani Danusia weszła mu w słowo. – Ziemia może się osunąć, a o wypadek nietrudno.

– Tak – powiedział mężczyzna. – Nietrudno.

Zapadła niezręczna cisza. Domyśliłam się, że ta konwersacja jest już zakończona, jednak w głowie zrodziła mi się masa pytań. Czułam pomiędzy nimi napięcie, byli nie tylko zestresowani, ale... przerażeni? Może ktoś z rodziny podpułkownika Niedziałkowskiego utopił się w tym jeziorze, więc obawiają się, że mnie może spotkać to samo? Resztę śniadania jedliśmy w milczeniu.

Postanowiłam posprzątać kuchnię i łazienki, nie chciałam siedzieć z założonymi rękami. Musiałam znaleźć sobie jakieś zajęcie. Pani Małgorzata była bardziej rozmowna niż poprzedniego dnia. Opowiedziała mi, jak z podpułkownikiem Niedziałkowskim nabyli tę posiadłość. Mówiła, że była wtedy bardzo podekscytowana, jednak opowiadała to znużonym, wręcz smutnym głosem. Miałam wrażenie, że opuściła ją cała radość życia i nie czuła się tutaj dobrze. Kobieta wydawała się taka krucha, jakby zaraz miała się rozpaść albo rozpląnąć w powietrzu. Nagle powiedziała coś zaskakującego:

– Wiesz, że to jezioro jest magiczne? – Spojrzała na mnie swoimi wielkimi czarnymi oczami. – Na pewno to odczułaś.

– Tak – odpowiedziałam. – Jest naprawdę piękne.

Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się szczery uśmiech, w policzkach dostrzegłam urocze dołeczki, wydawała mi się jeszcze młodsza.

– Nie o to mi chodziło – powiedziała z rozbawieniem. – W końcu też to dostrzeżesz i to już niebawem.

Wieczorem zastanawiałam się nad słowami Małgorzaty. Nie wiedziałam, co miała na myśli mówiąc, że „przekonam się niebawem”. Może przemówiła przez nią choroba? Takie osoby mają omamy i widzą rzeczy, których nie ma. Jednak czułam ciarki na plecach, gdy mówiła to z takim niewinnym uśmiechem. Coś z tym jeziorem było nie tak. Wyjrzałam przez okno w mojej sypialni, było już całkiem ciemno, a wokół jeziora wisiała lekka mgła. Nie powiedziałabym, że teraz wygląda magicznie, a bardziej upiornie, biorąc pod uwagę zarośla, które je otaczały.

Nagle usłyszałam śmiech i zamarłam, wydawało mi się, że był to dziecięcy głos, ale przecież w posiadłości nie było żadnych dzieci. Czyżbym miała jakieś omamy słuchowe? Drgnęłam, gdy zobaczyłam małego chłopca siedzącego na trawie na zewnątrz. Czyli jednak nie byłam wariatką. Postanowiłam zejść na dół, by upewnić się, kim jest ten mały chłopiec. Może się zgubił i potrzebował pomocy? Od razu przypomniałam sobie przestrożę pana Zenka, abym nie wychodziła w nocy, jednak nie chciałam dopuścić, by coś się stało temu dziecku. Gdy do niego podeszłam, wstał i uśmiechnął się do mnie. Na jego twarzy nie widziałam lęku czy dezorientacji.

– Witaj – zagadnęłam. – Jak masz na imię? – Przykucnęłam, by nasze głowy były na równi, nie chciałam go przestraszyć, więc mówiłam cicho i spokojnie.

– Janek – odpowiedział, jednocześnie bacznie mi się przyglądając. – A ty?

– Ewa, miło mi. – Wyciągnęłam rękę w jego stronę, a on bez wahania ją uściśnął. Zdziwiła mnie jego pewność w głosie, wcale się mnie nie bał, a przecież byłam dla niego kimś obcym. Przyjrzałam mu się dokładnie. Jego ubrania były brudne i wilgotne, na czoło opadały kruczoczarne włosy, miał wątlą sylwetkę i duże czarne oczy. Jednak najbardziej moją uwagę zwróciła jego bladość, skóra wydawała się cienka jak papier. Przed oczami od razu stanęła mi postać Małgorzaty, która wyglądała identycznie. Nikt mi nie powiedział, że ma syna, i że ot tak pozwala mu się bawić w nocy na zewnątrz.

– Chcę do mamy. – Z jego twarzy zniknął uśmiech i pojawił się smutek, zrobiło mi się go naprawdę żal.

– Chodź, zaprowadzę cię do niej, nie możesz przebywać tu bez opieki dorosłych. – Wyciągnęłam do niego dłoń, a on mocno złapał mnie za nadgarstek. Przestraszyła mnie jego

siła, w pierwszym od ruchu chciałam się wyrwać, ale moja ręka utknęła w jego żelaznym uścisku. – Puść mnie, proszę. – Starłam się być spokojna, jednak głos lekko mi zadrżał.

– Zaprowadzę cię do mojej mamy. – Uśmiechnął się, ale w jego głosie usłyszałam wrogość. Zaczął prowadzić mnie w stronę jeziora, próbowałam się wyszarpać, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Byłam zdezorientowana, zaczęłam krzyczeć, by mnie puścił. Nagle usłyszałam głos pana Zenka.

– Zostaw ją, ty diable! – krzyknął. Miał ze sobą tylko grabie, jednak to wystarczyło, by przestraszyć chłopca. W końcu puścił mój nadgarstek i uciekł w stronę krzaków. Zrobiło mi się słabo i upadłam na kolana. Mężczyzna podbiegł do mnie i złapał za ramiona.

– Nic ci nie jest? – zapytał przerażony.

– Nie... chyba nie – odpowiedziałam skołowana, jego słowa ledwo do mnie docierały.

– Mówiłem ci, byś nie zapuszczała się tu po nocach! – Jego lęk został zastąpiony wybuchem gniewu.

– Przepraszam, ja... – nie dokończyłam, bo w głównych drzwiach stała jakaś postać. Dopiero po chwili zorientowałam się, że była to pani Małgorzata. Pan Zenek podążył za moim wzrokiem i również ją zobaczył.

– Nie... – powiedział cicho i ruszył w jej stronę. Kobieta również zaczęła iść, ale wydawała się nieobecna, przeraziła mnie pustka w jej oczach, jakby była w jakimś amoku.

Zenek złapał ją w pół drogi, a to co się wydarzyło odebrało mi mowę. Usłyszałam przerażający i głośny krzyk wydobywający się z gardła kobiety. Mężczyzna trzymał ją mocno w pasie, a ona zaczęła się wrywać w szale.

– Zostaw mnie! – wrzeszczała na niego, wymachiwała rękami i nogami, panu Zenkowi ledwie udawało się ją trzymać. – Chcę wrócić! Wrócić! Puść mnie!

Mimo ogromnego lęku udało mi się wstać i podeszłam do nich pospiesznym krokiem.

– Pani Małgorzato. – Próbowałam mówić spokojnie, ale nie potrafiłam utrzymać nerwów na wodzy, czułam, że cała drzę. – Proszę się uspokoić.

Złapałam ją za ramiona, ale kobieta kopnęła mnie mocno, gdy podeszłam bliżej, ledwo utrzymałam równowagę.

– Pomóż mi ją zaciągnąć do domu. – Zenek zwrócił się do mnie. – Szybko, bo dłużej jej nie utrzymam.

Złapałam mocno za jej ramię, a Zenek trzymał ją w pasie. Kobieta nie chciała się uspokoić, nadal wrywała się w spazmatycznym szale. Nie wiem ile zajęło nam doprowadzenie jej do posiadłości. Gdy zamknęliśmy drzwi, wybuchła płaczem i ukryła twarz w dłoniach. Jej widok łamał mi serce, było mi jej tak żal, ale jednocześnie bałam się do niej

podejść. Dopiero pan Zenek wziął ją pod ramię i powoli zaprowadził do pokoju, a ja poszłam za nimi. Mężczyzna usadowił ją na łóżku i przykrył kocem. Patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem, a ja nie miałam pojęcia, co zrobić. Chciałam jej pomóc, ale jednocześnie bałam się jej.

– Proszę – powiedziała cicho. – Chcę wrócić.

– Już, już, kochana. – Zenek pogłaskał ją po głowie. – Wszystko będzie dobrze, idź już spać.

Małgorzata z rezygnacją opadła na poduszkę. Powoli wyszliśmy z jej pokoju, ostrożnie zamykając drzwi. Ogrodnik nie chciał spojrzeć mi w oczy.

– To był jej syn, prawda? – zapytałam ostrzejszym tonem niż zamierzałam, jednak mężczyzna tylko skinął głową, nadal unikając mojego wzroku.

– Kim... czym oni są? I co tu się w ogóle dzieje?

– Mówiłem ci. – W końcu się odezwał, jego głos był przepełniony żalem. – Byś nie wychodziła w nocy. Nie chcieliśmy ciebie narażać.

– Naraziliście mnie w momencie przyjęcia do tego domu! – Już nie miałam zamiaru się hamować. – Czy obywatel Niedziałkowski o tym wie?

Mężczyzna przez chwilę milczał, wyraźnie się wahał, ja jednak nie zamierzałam odpuścić.

– Po tym, co się stało mam prawo wiedzieć!

– Wie. – W końcu się odezwał. – To dlatego trzyma ją z dala od ludzi, Małgosia wcale nie jest schorowana. Nazwij ją, jak chcesz. Duchem, zmorą, upiorem. Wiem tylko jedno. – Znowu się zawahał, nerwowo oblizał usta. – To jezioro pochłonęło wiele dusz, w tym Małgosię i jej synka.

– Dlaczego jej nie wypuścicie? To jest jakieś szaleństwo, to musi być sen.

– Podpułkownik zbyt mocno ją kocha, nie pozwoli, by jezioro ją zabrało. Zachowała w sobie kawałek człowieczeństwa, bo spędziła w wodzie za mało czasu. Nie chcemy jej stracić tak jak Janka.

– Wracam do domu – powiedziałam stanowczo. – Nie mam zamiaru zostać tu ani minuty dłużej.

– Musisz poczekać do rana – odparł z troską. – Jest noc, nie kursuje żaden autobus, taksówka również tu nie przyjedzie od razu. Proszę, zostań.

Wyjechałam z samego rana, nie zegnając się nawet z panią Danusią. Chciałam znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

– Czy to wszystko, obywatelko? – zapytał funkcjonariusz SB beznamiętnym tonem, jakby cała historia nie robiła na nim żadnego wrażenia.

– Tak, to wszystko – odpowiedziała Ewa.

– Czyli potwierdzasz, że podpułkownik Niedziałkowski upozorował śmierć swojej żony i przetrzymuje ją w posiadłości na odludziu?

– Potwierdzam.

– No dobrze. – Mężczyzna podsunął jej dokument. – Podpisz tutaj. – Wskazał odpowiednie miejsce na kartce.

Dziewczyna podpisała się i wyszła z pomieszczenia, a chwilę później funkcjonariusz usłyszał pukanie.

– Wejść – powiedział głośno i do pokoju wszedł jego kolega.

– I co powiedziała? – zapytał. – Mamy coś na niego?

– No... – zawahał się. – Całkiem sporo. Milicja się nim zajmie i będziemy mieć go z głowy.

– A co z dziewczyną?

– Dużo bredziła, ale puściłem ją wolno. W końcu pomogła nam się go pozbyć.

– Trzeba przyznać, że długo szukaliśmy na niego haków. Czy jej zeznania wystarczą?

– Uwierz mi. – Mężczyzna uśmiechnął się. – Mamy na niego więcej, niż moglibyśmy się spodziewać.

GEHENNA

Edward Strun

– Przysięgam, że tak było – powiedział Amin ze strachem w oczach. – Zły duch patrzył wprost na mnie. Czarny jak smoła, o dwie głowy wyższy od dorosłego mężczyzny. Miał wielki, owalny łeb i czarne ślepie.

– To musiał być demon polny – wtrącił się Ja’akov.

– Demony polne nie są takie duże – zaprzeczył Natan, kręcąc głową.

Był najstarszy z obecnych. Jego siwa broda sięgała do połowy piersi.

– A miałeś ze sobą *tefilin*? – zapytał Ja’akov.

Amin się zmieszał. Chwilę milczał, rozważając, czy opłaca się skłamać.

– Nie miałem – odparł wreszcie. – Zakładam go tylko do modlitwy.

Wolał powiedzieć prawdę. Nie czuł potrzeby noszenia przy sobie *tefilin*. Żaden wers Pisma tego nie nakazywał. Dwa czarne pudełeczka, zwane także *filakterią*, które w swym wnętrzu zawierały cztery ustępy *Tory z Księgi Wyjścia i Księgi Powtórzonego Prawa* powinny być przywiązane do czoła i ramienia jedynie w czasie modlitwy.

– *Tefilin* należy nosić zawsze, bo odpędza duchy – powiedział Ja’akov pouczającym tonem.

Młodzieniec najwyraźniej cieszył się, że może kogoś „wspomóc radą”. To było pierwsze *Pesach*, podczas którego pozwolono mu usiąść do stołu z mężczyznami. W zeszłym roku jadł wieczerzę razem z dziećmi. Teraz od czasu do czasu zerkał z wyższością na grupkę małych usadowionych na ziemi w kącie izby, nieopodal stołu, przy którym posiłek spożywały niewiasty. Niekiedy też ze smutkiem spoglądał na Adarę. Jego kuzynka była ciężko chora. Leżała na posłaniu, pogrążona w malignie, półprzytomna. Miała mętny wzrok, rzadko się odzywała, bo mówienie sprawiało jej ogromną trudność. Co chwilę drzemała. Jej choroba trwała już od miesięcy. Znachorzy byli bezradni, żadne zioła ani obrzędy nie pomagały, a stan dziewczynki ciągle się pogarszał.

– *Filakterii* nie trzeba nosić cały czas – zaprzeczył Natan. – Do odegnięcia złych mocy wystarczą trzy zęby królika zawieszane na szyi.

Ja'akov spuścił wzrok. Nie śmiałyby sprzeczać się z własnym ojcem. W zakłopotaniu zaczął mimowolnie mierzwić dłonią swoją rzadką i krótką brodę.

– Odmów dziś przed spaniem *Szema Israel* co najmniej pięć razy – ciągnął Natan. – Bo inaczej duchy mogą nawiedzić dom.

– Tak zrobię, kuzynie – potwierdził Amin.

– I wysyp przed domem trochę przesianego popiołu. Rano sprawdzimy, czy są na nim ślady kurzych stóp.

– A jeśli będą? – zaniepokoił się Amin.

– To znaczy, że duchy przyszły za tobą.

– I co wtedy?

– Będziemy musieli...

– To bujdy – zabrzmiał głos z przeciwległego kąta stołu.

Wszystkie głowy, jak na komendę, zwróciły się w stronę, z której dobiegło to odważne stwierdzenie. Głos należał do Jehoszuy, pielgrzyma z odległej Galilei, który do tej pory siedział w milczeniu, popijając od czasu do czasu wino z drewnianego kubka. Jego długie, czarne włosy i gęsta broda lśniły w słabym świetle przyściennych lamp oliwnych.

– Drogi przybyszu – zaśmiał się Natan. – Jesteś jeszcze młody i mało widziałeś...

– Widziałem wystarczająco dużo, by wiedzieć, że duchów nie ma. A wiara w te brednie jest niezgodna z Pismem.

Starzec spojrział na rozmówcę zaskoczony. Gość nie powinien w taki sposób zwracać się do seniora rodu. Natan znał Jehoszuę zaledwie od dwóch dni. Człowiek ten płacił Aminowi dwie sykle za każdy nocleg podczas *Pesach*, dlatego został zaproszony na świąteczną wieczerzę. Miał szczęście, że udało mu się znaleźć dach nad głową. Wielu przyjezdnych spało pod gołym niebem, bo Jeruzalajim podczas Święta pękało w szwach.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Jesteście jeszcze głodni? – spytał Amin, chcąc zmienić temat rozmowy. – Ester może przynieść więcej jadła.

Gospodarz omiół wzrokiem stół. W misach zostały resztki jedzenia: chleba jęczmiennego, baraniny, smażonej szarańczy i oliwek.

– Dziękujemy, kuzynie. – Natan skłonił się nisko gospodarzowi, po czym zwrócił się do Jehoszuy:

– Twoja buta jest co najmniej zastanawiająca, przybyszu. Nawet *rabbi* Levi naucza o złych duchach.

– Pismo mówi wyraźnie, że demony nie istnieją – nie ustępował Jehoszua. – Imiona złych duchów, które wymienia *Tora*, to nazwy fałszywych bóstw czczonych przez pogan. Pan jest jeden, wszechmocny i wszechwiedzący. Nie ma innych tajemnych mocy, a wiara w takie brednie jest grzechem. Jeśli nie wierzycie, zapytajcie faryzeuszy.

– Co w takim razie, twoim zdaniem, widziałem dziś w Dolinie Hinnom? – zapytał Amin.
Jehoszua wzruszył ramionami i pociągnął łyk wina.

– Hinnom to straszne miejsce – odparł po chwili. – Wszyscy wiemy, jaka jest jego historia.

Rzeczywiście, legenda związana z Doliną Hinnom mroziła krew w żyłach. Niegdyś palono tam zwłoki przestępców, którym odmówiono tradycyjnego pochówku. Ale nie to było najgorsze. Według Pisma na wzniesieniu Tofet, znajdującym się w samym środku Hinnomu, król Achaz przed wiekami złożył w ofierze bogu Molochowi swojego syna. Od tego czasu miejsce to, zwane także Gehenną, stało się symbolem bałwochwalstwa, hańby i niegodziwości.

– Chcesz powiedzieć, że mi się przywidziało? – zdziwił się Amin.

– Nie rozumiem, po co w ogóle tamtędy szedłeś? – zapytał Jehoszua.

– Już mówiłem, przybyszu. Wracalem z gaju oliwnego i udałem się na skróty, bo śpieszno było mi na wieczerzę. Jestem pewien tego, co zobaczyłem. Czarny jak smoła stwór z wielkim łbem.

– Zatem chodźmy tam teraz i sprawdźmy, czy demon nadal jest w Dolinie Hinnom – zaproponował Jehoszua.

Pozostali zgromadzeni popatrzyli po sobie niepewnie. Widać było, że nikt nie kwapi się do wzięcia udziału w zaproponowanej eskapadzie.

– To przecież niedaleko – nie ustępował Jehoszua. – Tuż za miastem.

– Ale już dawno po zmroku – powiedział ze strachem Ja'akov.

– Zabierzemy pochodnie. – Przybysz wstał i zaczął szykować się do drogi.

– Ja nigdzie nie idę – zaproponował Natan.

– Ja tym bardziej – rzekł gospodarz. – Kiedy zobaczyłem tego ducha, uciekłem gdzie pieprz rośnie. Nie zamierzam przeżywać tego po raz drugi.

Jehoszua wbił wzrok w najmłodszego z całego towarzystwa Ja'akova. Ten nie wiedział, jak zareagować.

– Nigdzie nie pójdziesz! – podjął za niego decyzję ojciec.

– Banda przesądnych tchórzy – mruknął pod nosem Jehoszua.

– *Baal!* – zawołała Ester, żona Amina, która siedziała przy posłaniu Adary, opiekując się chorą dziewczynką. Teraz wstała i postąpiła kilka kroków w stronę przybysza. – Lepiej tam nie idź. Po co narażać się duchom?

– Narażać się duchom? – oburzył się zuchwalec. – Już mówiłem, że duchy to przesąd. Udowodnię wam. Jeżeli się boicie, pójdę sam. Przekonam się, że nic tam nie ma, wrócę i o wszystkim wam opowiem.

– A jeśli ujrzysz demona? – spytał Amin.

– Wtedy też o wszystkim opowiem.

– A niby skąd będziemy mieć pewność, że naprawdę byłeś w Gehennie? – zapytał przytomnie Natan.

Pielgrzym westchnął głośno. Chwilę się zastanawiał, po czym odparł:

– W czasie *Pesach* przekłęci bałwochwalcy zapalają na szczycie Tofet gliniane znicze z symbolami Molocha, by kłuły w oczy pobożnych pielgrzymów. Na dowód przyniosę jeden z tych zniczy.

Natan skinął głową, godząc się na propozycję. Wiedział, że przybysz nie zdoła zdobyć takiego znicza w inny sposób. Tym bardziej w czasie Świąta, kiedy wszyscy mieszkańcy i pielgrzymi zajęci byli uctowaniem.

Jehoszua zabrał pochodnię, odpalił ją od paleniska i wyszedł z chaty. Nikt go już nie zatrzymywał, chociaż pomysł szwendania się o tej porze po Dolinie Hinnom wszystkich napawał przerażeniem. Obecni w milczeniu odprowadzili pielgrzymę wzrokiem.

Jehoszua znalazł się na wąskiej, krętej uliczce. Po obu jej stronach stały gliniane chaty kryte strzechą. Pielgrzym ruszył w stronę południowej bramy, wspinając się po stopniach wykutych w skale. O tej porze, kilka godzin po zmroku, ruch uliczny już zamierał. Jeruszałajim jednak nie tonęło w ciemnościach; przez okna, z wnętrz domostw, dolatywały światła lamp oliwnych.

Nagle wiatr zmienił kierunek; silny podmuch znad świątynnego dziedzińca przywiał swąd palonego mięsa. Jehoszua obejrzał się za siebie, by rzucić okiem na Świątynię. Budowla wzniesiona przez Heroda na szczycie wzgórza Moria napawała go takim samym zachwytem, jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Nic nie mogło równać się z majestatem tego boskiego przybytku: ani okazały pałac Hasmoneuszów, ani opływająca bogactwem forteca Heroda, ani nawet zdobny pałac Annasza i Kajfasza. Błado wypadały przy niej także domy bogaczy z Górnego Miasta, nie wspominając o glinianych chatach krytych strzechą, należących do zwykłych obywateli.

Teraz nad Świątynią unosiła się krwawa luna, malowniczo rozświetlając złożone iglice i śnieżnobiałe mury. Podczas *Pesach* każdy bogoboyny Izraelita winien złożyć w ofierze baranka. Ów zwyczaj sprawiał, że żydowskie Święto było rzezią niewinnych zwierząt – krwawą i okrutną – a nad miastem królował swąd zwęglonych ciał.

Jehoszua dotarł wreszcie do Bramy Dawida, pozdrowił skinieniem głowy rzymskich legionistów pilnujących przejścia i opuścił mury Jeruszałajim. Teraz pochodnia, którą niósł, wreszcie stała się przydatna. Na drodze nie było żywego ducha; okoliczne wzgórza i łąki rozświetlała jedynie luna unosząca się nad miastem.

Pielgrzym zboczył z głównego traktu i zaczął schodzić w dół doliny Hinnom. Tutaj światła znad Jeruszałajim nie docierały. Wokół panowały ciemności.

Czuł, że ręce mu drżą, serce przyspieszyło. Zawładną nim lęk.

– Nie możesz się poddać – szepnął do siebie. – Opanuj strach.

Od najmłodszych lat studiował Pismo. Wierzył w każde słowo w nim zawarte i był gotów w każdej chwili wystawić na próbę swe przekonania. Tylko w taki sposób mógł dowieść, że jego wiara jest prawdziwa i pochodzi z głębi serca. Jehoszua był pewien, że w Gehennie nie natrafi na złego ducha. Ufał, że Pan pomoże mu przetrwać próbę charakteru. Strach to tylko złudzenie, oznaka słabości, którą można przezwyciężyć.

Wytrwale brnął naprzód. Światło pochodni ślizgało się po krzakach i kamieniach. Cienie mijanych głazów tańczyły w drżącym blasku płomienia. Wydłużały się i skracały, kiedy Jehoszua się do nich zbliżał. Umysł pielgrzyma w każdym kształcie dostrzegał przyczajonego ducha.

„Przetrwasz to” – powtarzał w myślach Jehoszua.

W oddali, na niewielkim wzniesieniu, migotały ogniki. Pielgrzym domyślił się, że to znicze na szczycie wzgórza Tofet. Zapalone, aby upamiętnić niechlubną ofiarę złożoną niegdyś przez króla Achaza.

„Już niedaleko – pomyślał. – Zabiorę znicz i będę mógł wrócić. Udowodnię, że złe duchy nie istnieją”.

Wtedy zauważył przed sobą jakiś kształt. Duży, kulisty. Mógł to być głaz, ale bryła sprawiała wrażenie zbyt regularnej.

Serce zabiło mu jeszcze mocniej. Szedł jednak uparcie dalej. Nieznany kształt z każdą chwilą stawał się większy. Jehoszua był już pewien, że to nie kamień. Żaden głaz nie mógł mieć równie dużych rozmiarów.

Nagle nieznana kula rozbłysła dziesiątkami jasnych światel. Blask oślepił pielgrzyma, który osłonił oczy dłonią. Wtedy płat kuli odłączył się od reszty bryły, opadł powolnie na

ziemię, tworząc pomost, wejście prowadzące do wnętrza. Oczy Jehoszuy zaczęły przyzwyczajając się do intensywnego światła. Dostrzegł dwa wydłużone cienie, które wyłoniły się ze środka kuli. Zbliżały się do niego. Chciał uciec, ale nie potrafił. Coś go sparaliżowało, sprawiło, że stał jak wryty, nie mogąc poruszyć nawet małym palcem u nogi. Obce istoty były coraz bliżej. Ich czarna skóra lśniła skąpana w jaskrawym świetle. Kiedy stąpały, ich wielkie, owalne głowy kołysały się miarowo w górę i w dół.

Jeden ze stworów stanął przed Jehoszuą. Był dużo wyższy od niego, miał smukłą wydłużoną sylwetkę i nienaturalnie chude ręce. Smoliste ślepia spojrzały na pielgrzyma przenikliwie. Szponiasta dłoń uniosła się i spoczęła na jego głowie. Nagle Jehoszua w jakiś niewytłumaczalny sposób pojął, że nie jest w stanie niczego ukryć przed wzrokiem obcej istoty. Miał wrażenie, że każda jego myśl stała się jawna, zupełnie jakby została wypowiedziana na głos.

Szponiasta dłoń zacisnęła się mocniej na głowie pielgrzyma. Świat wokół zawirował, rozmazał się i zniknął. Świadomość Jehoszuy uniosła się wysoko ponad Dolinę Hinnom, ponad przeklęte wzgórze Tofet. Szybował w czarnych, nieprzebranych oceanach, pchany siłą, nad którą nie potrafił zapanować. Zobaczył miliardy istnień, zanurzonych w niebycie *szeolu*.

Czuł! Tak, czuł prawdziwie, bo nie za pomocą zmysłów, lecz całym sobą! Pozbył się kajdan, które więziły go przez tyle czasu! Czas? Czasu nie ma i nigdy nie było. Tak samo, jak nigdy nie było kajdan. Wrócił do domu po długiej wędrówce, po jednej z wielu podróży. Nagle odzyskał pamięć. Wiedział, co wydarzyło się przed tą chwilą i co nastąpi po niej. Jaźń wyzwoliła się z objęć niedoskonałego ciała. Zrozumiał... wreszcie zrozumiał. Tak musiało być! Tak było wiele razy wcześniej.

– Gdzie byłeś całą noc, pielgrzymie? – zapytał Amin, kiedy nad ranem zobaczył Jehoszuę w progu swojej chaty. – Widziałeś czarnego ducha? Masz znicz?

Przybysz wzruszył ramionami.

– Niczego nie pamiętam. Obudziłem się rano w krzakach nieopodal Tofet. Chyba ktoś mnie napadł... Ogłuszył... Nie wiem, nie jestem pewien.

– A może zły duch sprawił, że postradałeś rozum? – zaproponował gospodarz.

Ester również badała gościa ciekawym wzrokiem.

– Wejdz, proszę – powiedziała. – Połóż się. Musisz być wyczerpany. A może jesteś głodny?

– Dziękuję – odparł. – Nie czuję głodu.

– Czyli nie widziałeś w Gehennie niczego niepokojącego? – dopytywał Amin.

Jehoszua usiadł przy stole i rozejrzał się po chacie. Po wczorajszej uczcie nie było już śladu. Goście poszli do domu, a stoły zostały uprzątnięte.

– Nieopodal miejsca, w którym się obudziłem, był jakiś krąg – powiedział pielgrzym. – Równomiernie wypalona trawa w kształcie koła. To chyba dosyć dziwne.

– Zaiste – zgodził się gospodarz. – Czy to nie wystarczy byś mi uwierzył?

– Nie wiem – odparł Jehoszua.

Zauważył, że w kącie izby, na posłaniu leżała Adara. Od wczoraj jej stan wyraźnie się pogorszył. Na czole miała krople potu. Była nieprzytomna.

Jehoszua wstał i podszedł do dziewczynki. Przyłożył dłonie do jej czoła. Trwał chwilę bez ruchu, modląc się w myślach. Nie zastanawiał się nad tym, co robi. Gospodarze obserwowali go w milczeniu.

Chwilę potem wyszedł i nigdy już nie wrócił do chaty Amina. Następnego dnia Adara poczuła się dużo lepiej, a w ciągu tygodnia całkowicie wyzdrowiała. Nikt nie wiedział, jaki udział w jej uleczeniu miał tajemniczy pielgrzym, ale ludzie plotkowali, że to jego zasługa.

Mówili też, że pielgrzym wrócił do Galilei, gdzie zaczął nauczać o miłości do bliźniego. Jego nauki ponoć były na tyle rewolucyjne, że udało mu się zebrać grono wiernych uczniów. Niektórzy twierdzili również, że miał dar uzdrawiania i pomógł wielu chorym. Czynił także inne cuda.

Kilka lat później pielgrzym powrócił do Jeruzalajim w czasie *Pesach* razem ze swoimi wyznawcami, ale wszczął awanturę w Świątyni, niszcząc stragany kupców, przez co został pojmany przez Rzymian, skazany na śmierć i ukrzyżowany.

Ale to już temat na inną historię.



GLORIA PATRI

Sebastian Bartek

Dowódca oddziału, Pater, pchnął lekko bramę, a ta ustąpiła bezgłośnie. Na jej zawiasach z łatwością można było dostrzec ciemnoczerwone plamy. „Kurwa”, przeszło mu przez myśl, a następnie usłyszał szept idącego za nim Karmazyna:

– Nie wygląda mi to za dobrze. – To rzekłszy, mężczyzna kiwnął głową w stronę krwi zaschniętej na prętach bramy, jakby to mogło ujść czyjejs uwadze.

Pater, w pierwszym odruchu, miał ochotę trzepnąć go w głowę i zakwestionować jego męskość, lecz ograniczył się jedynie do karcącego spojrzenia. Rozumiał wszak strach podwładnego, który na własne oczy przekonał się, że pogłoski krążące wśród ich społeczności były prawdziwe. Pozostali dwaj członkowie tego skromnego oddziału, Adam i Goran, którzy stali niedaleko, również nie wyglądali na zapalonych do pomysłu odwiedzenia osady. Nie mieli jednak wyboru, po to tu przyszli, a poza tym, Pater był szefem, zaś oni zgłosili się na ochotnika do tej wyprawy i przysięgli mu posłuszeństwo.

– Nie po to szliśmy taki kawał, żeby teraz tu nie zajrzeć – przypomniał dowódca, jednocześnie wyczytując z oczu podwładnych, że nie takiego komunikatu oczekiwali. – To boczna brama, wślizgniemy się niezauważenie i rozejrzemy tu i tam – dodał, łagodząc jednocześnie ton, by mimo wszystko pokrzepić towarzyszy.

Po tych słowach zwiadowcy dobyli maczet, do tej pory zwisających przy udach i weszli do środka. Pokonawszy kilka metrów, zrozumieli, że ‘krew spływająca po ulicach’ nie jest jedynie przesadzonym określeniem mającym oddać horror i wielość zgonów. W tym miejscu stanowiła dosłowny opis tego, co mieli przed sobą, bowiem drogi i rynsztoki całego miasteczka zabarwione były na śmiertelnoczerwono. Na tym wszystkim błyszczała poranna rosa, która przypominała werniks, jakby w jakimś chorym umyśle pojawiła się idea utrwalenia tego widoku na wieki.

Niemal od razu, w pejzaż miasteczka zaczęły wpisywać się kawałki poszarpanych zwłok. Ludzkich zwłok. Tu i ówdzie leżały pojedyncze palce, części ramion i nóg, a co jakiś czas fragment korpusu czy głowa. Na niektórych można było zauważyć strzępy przesiąkniętej krwią odzieży lub biżuterię pokrytą rdzawymi plamami. Obserwując to, zdruzgotani mężczyźni zadawali sobie w myślach pytania o sens tej krwawej łaźni, ale żaden z nich nie wypowiedział ani słowa, w obawie, że sprawcy tego bestialskiego mordu mogą czaić się gdzieś niedaleko.

W końcu cała czwórka dotarła do głównego placu miasta, gdzie natknęli się na przerażający pomnik okrucieństwa: kilkumetrową piramidę wzniesioną z tego, co pozostało z mieszkańców. Każdy członek oddziału pamiętał okropności ostatniej wojny, jednak skala koszmaru, który mieli przed oczyma przewyższała wszystko, z czym do tej pory się spotkali. „Jak można być zdolnym do czegoś takiego?” powtarzali w głowie podobne pytanie, chociaż z ich punktu widzenia nie mniej istotne było to, które postawił Goran:

– *Kto to zrobił?*

Mężczyźni popatrzyli na siebie, łudząc się, że któryś z nich zna odpowiedź i łaskawie zechce się nią podzielić z resztą, co jednak nie nastąpiło. Tę krótką chwilę zadumy niespodziewanie zakłóciło burczenie przeplatane czymś na kształt bulgotania. Sprawilo ono, że zwiadowcy mocniej zacisnęli dłonie na maczetach, jedynej broni, którą posiadali. Szybko ustalili, że niepokojące dźwięki dochodzą z drugiej strony piramidy, która znajdowała się poza ich wzrokiem. Pater spojrzal na towarzyszy, przywołał gestem dłoni, by się zbliżyli, a następnie cały oddział zaczął okrążyć piekielną budowlę, by zbadać źródło hałasu.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, Adam coś spostrzegł.

– Tam jest jakiś człowiek – szepnął przekonany, że zauważył kogoś, kto mógł ocaleć.

– Nie, czekaj – powiedział Pater, studząc entuzjazm kompana. – Patrzcie.

Zza ciała wyłoniła się świnia, która też ich zauważyła i teraz wwiercała w nich wzrok, jakby miała pretensje, że jej przeszkodzono. Po chwili, nie żywiąc urazy, wróciła do swojego zajęcia, jakim było posilanie się mięsem.

– Wydaje się, że nikogo tutaj nie ma. Najwyraźniej ktokolwiek to zrobił, już się stąd wyniósł – rzekł Pater, po czym dodał. – Rozejrzymy się tu trochę.

+++

– To mi wygląda na jakąś knajpę, albo coś – zauważył Goran, kiedy uszli kilkanaście metrów od głównego placu, brodząc w krwistym błocie powlekającym ulicę.

Pater przytaknął i jako pierwszy wsunął głowę do środka, gdzie stało kilka stołów, a obok nich drewniane ławy i parę sfatygowanych, plastikowych krzeseł. Wewnątrz nie było nikogo, więc zachowując środki ostrożności, zaczęli przeszukiwać zakamarki. W końcu Goran wszedł do dużego pomieszczenia, które znajdowało się za czymś, co przypominało kontuar i zniknął w nim.

– Panowie – zawołał po chwili. – Pozwólcie tu szybko.

Pozostała trójka poszła za głosem, a kiedy odnaleźli kolegę, stał on na tle półek uginających się pod stertą serów, suszonych wędlin i butelek z napojami. Kilka chwil wcześniej trudno było im się uśmiechać. Jednak perspektywa napełnienia brzuchów porządnym jedzeniem z pewnością lepiej ich nastroiła, tym bardziej, że od kilku dni musieli już racjonować swoje niewielkie zapasy. Zabrali więc to, co każdy mógł unieść, zasiedli przy jednym ze stołów i zaczęli jeść w ciszy. Po kilku minutach uczty, Pater trzymając duży kawał kiełbasy, popatrzył na zastawiony stół i rzekł:

– Widzieliście świniaka, tam na placu, nie?

Kompani pokiwali głowami.

– A to? – znowu zapytał Pater, wskazując tym razem na stół.

Reszta jeszcze nie wiedziała, do czego zmierza ich przywódca.

– Tu jest pełno żywności, więc po co napastnicy napadali na tych ludzi?

Adam, Goran i Karmazyn przestali przeżuwać, ale żaden z nich nie odpowiedział na pytanie Patera, bo jeśli napastnicy nie zabili mieszkańców osady, by ich obrabować, to dlaczego? Odwet? Za co mścili się w tak okrutny sposób, że zamiast po prostu pozbawić życia, zadawali cierpienia wszystkim bez wyjątku: mężczyznom, kobietom, starcom, a nawet dzieciom?

Kompani dokończyli posiłek w ciszy, siedząc przy stole, tylko Pater chodził po pomieszczeniu, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Co robimy dalej? – zapytał Karmazyn.

– Jak mówiłem, rozejrzymy się jeszcze po mieście. Poszukamy jakichś wskazówek. Może ktoś jednak przeżył? – odpowiedział natychmiast dowódca. – Póki co, nadal nic nie wiemy.

– Wiemy tyle, że po pierwsze: plotki były prawdziwe, ktoś wyrzyna całe osady, a po drugie, że stoi za tym banda szaleńców, która, co jest całkiem możliwe, czerpie z tego jakąś posraną przyjemność.

– Niewiele nam to w wiosce pomoże. – zauważył Pater. – Trudno opracować sensowną strategię, opierając się jedynie na tym, że jakiś tajemniczy ktoś przyjdzie nas zabić.

– Przeciwnie – włączył się Goran. – Możemy przecież przygotować się do ewentualnego ataku, biorąc pod uwagę najgorszy z możliwych scenariuszy. Nie będziemy beczynnie siedzieć i czekać aż zaszlachtują naszych, nie?

– Nadal uważam, że potrzebujemy więcej informacji – upierał się Pater. – Myślałem sobie nawet, żeby podjąć próbę wytropienia tych ludzi – zaproponował, chociaż wyczuwał, że w tej kwestii ma całą trójkę przeciwko sobie. To był jednak tylko pomysł.

– Wydaje mi się, że chłopaki mają rację, Pater – zabrał głos Adam. – Widziałeś plac, nie? To zrobili jacyś zwyrodnialcy, których jara zadawanie bólu. Póki co, nie znaleźliśmy żadnych ocalałych, nie wydaje mi się, żeby ktoś dał radę się ewakuować, a to znaczy, że mamy do czynienia z przeważającą ilością napastników, lub ze sprawnie działającym komando, które prawdopodobnie wie co robi i działa metodycznie według jakiegoś chorego planu. Chociaż nadal nie mogę uwierzyć, że ktoś mógł zrobić to, co oglądaliśmy dla przyjemności zabijania, to nie chciałbym się przekonać, że się mylę. Jednak wojna nauczyła mnie, że można się mylić w wielu sprawach. Moim zdaniem, powinniśmy zabierać dupy

w troki i spieprzać do naszej wioski, żeby wszcząć alarm i przygotować się na atak. Tropienie takich zwierząt w teorii wydaje się być dobrym planem, ale może skończyć się dla nas tragicznie. Pójdę, oczywiście, będę się bił, jeżeli tak będzie trzeba, wiesz o tym dobrze, ale jeśli my padniemy, to już nikt nie da znać naszym ludziom, którzy w tej chwili mają blade pojęcie o tym, co się dzieje.

Pater miał chęć skomentować to wystąpienie, ale powstrzymał się, wiedząc dobrze, że byłby to jedynie wybuch, który miałby tylko przypomnieć, kto tu rządzi. Nie zrobił tego jednak. Wiedział dobrze, że Adam ma dużo racji. Rozumiał, że w tej chwili musi powściągnąć stare przyzwyczajenia komandosa, który jest nastawiony na realizację celu, bez względu na ofiary, jakie należy ponieść.

Jako żołnierza uwierało go, że wypełnił zadanie tylko połowicznie: potwierdził plotki i poznał rozmiary pogromu, nadal jednak nie ustalił sprawców. Najwyraźniej musiał się z tym pogodzić. Przez chwilę rozważał, czy podzielić się na dwa zespoły, z których jeden poszedłby tropem napastników, a drugi udałby się do wioski, ale w tym powojennym, niebezpiecznym świecie, czwórka miała o wiele większe szanse na przetrwanie. Obserwowanie stosu pomordowanych ludzi, którzy przed śmiercią tyle wycierpieli, w zestawieniu z obrazem najbliższych, którzy mieliby podzielić ich los, pomógł mu podjąć decyzję.

– Zrobimy tak – zaczął. – Przejdziemy miasto, jak mówiłem, wejdziemy do tyłu domów, ile się da i poszukamy jakichkolwiek śladów, które pomogą nam czegoś się dowiedzieć. W południe, zabierzemy tyle żarcia, ile będziemy mogli unieść i pędem wracamy do naszych.

Chociaż reszta grupy wolałaby natychmiast wyjść z osady, to jednak w zestawieniu z pomysłem udania się za mordercami, z radością przyjęła to kompromisowe rozwiązanie.

– Dobra, panowie – powiedział Pater. – Kończyć tę biesiadę i ruszamy w miasto.

+++

– Ktokolwiek to był, zaskoczył biedaków. Patrzcie – zauważył Adam, wskazując na talerze i kubki rozłożone na stole, z resztkami jedzenia i picia w jednym z odwiedzanych domostw.

– Ale jakim cudem? – zainteresował się Goran.

– O co ci chodzi? – spytał Pater.

– To wszystko, co oglądaliśmy, ta cała masakra, to przecież nie mogło się stać w kilka sekund. Powiedzmy, że tu, gdzie teraz stoimy, ktoś usłyszał wrzaski, nie? Wyjrzał przez okno

i zobaczył to całe piekło, no to chyba próbowaliby uciec, a jeśli nie, to pewnie w akcie rozpaczcy, nie ważne kto ich atakował, podjęliby obronę, nie uważacie? Może próbowaliby się schować, zabarykadowali by drzwi, a tutaj nie widać żadnych śladów walki, zupełnie jakby ci biedacy w połowie posiłku wstali i poszli na śmierć.

–A jeśli wróca? – rzekł nagle Karmazyn.

Pater widział, że morale jego oddziału spada z każdą minutą spędzoną w mieście śmierci.

– Panowie, myślę, że widzieliśmy już dosyć. Bierzemy żarcie i spadamy stąd do naszych – zaordynował dowódca, nie widząc powodu, dla którego mieliby spędzić w tym miejscu więcej czasu, tym bardziej, że w żadnym miejscu nie odnaleźli śladów napastników. Wydawało się to w równym stopniu być dziwne jak i niemożliwe, zupełnie jakby mieszkańcy pomordowali się sami.

Mężczyźni pospiesznie przeczesali dom, w którym się znajdowali, spakowali to, co nadawało się do jedzenia i wyszli na ulicę, żwawo kierując kroki w stronę wyjścia. Nie rozmawiali w czasie marszu. Ich uszu dobiegał jedynie cichy i miarowy odgłos butów, który mieli nadzieję słuchać aż do przekroczenia murów miasta. Jednak w tę nudną i przewidywalną ścieżkę dźwiękową towarzyszącą ich odwrotowi, wkradła się nieoczekiwanie fałszywa nuta. Najpierw niezauważalnie, a potem coraz wyraźniej usłyszeli płacz. Grupa zatrzymała się i wszyscy nadstawili uszu. Ktoś łkał. Ktoś żył.

– Tam – szepnął Goran i wskazał palcem na budynek świątyni, której wielkie drzwi były otwarte na oścież.

– To może być pułapka – zauważył Karmazyn.

Pater wiedział o tym, jednak podjął już decyzję. Po kilkunastu sekundach członkowie oddziału stali już po obu stronach drzwi kościoła, a dowódca ostrożnie zajrzał do środka, gdzie zobaczył klęczącą przed ołtarzem postać. To ona płakała. Trudno było stwierdzić, czy to kobieta czy mężczyzna, ale zdecydowanie ten ktoś był sam, wpadające bowiem do środka światło skutecznie przegnało z wnętrza wszelkie cienie.

Pater ruszył w kierunku nieznanego, a reszta podążyła jego śladem. Kiedy ten odnotował obecność intruzów w kościele, odwrócił się gwałtownie. Zalana łzami twarz należała do wystraszonego trzydziestolatka, który wycofał się pod sam ołtarz i skulił pod nim, szukając schronienia. Zwiadowcom spadł kamień z serca, domyślili się, że mają do czynienia raczej z ofiarą aniżeli katem.

– Spokojnie, kolego, nie zamierzamy zrobić ci krzywdy – zapewnił Pater i na potwierdzenie uniósł lewą dłoń do góry, jednak w prawej nadal dzierżył potężną,

wzbudzającą respekt maczetę.

Być może z tego powodu, nieznajomy nie obdarzył go zaufaniem, tylko zwinął się w kłębek i schował głowę między ramionami, jak małe dziecko, które w ten sposób próbuje przejść w tryb niewidzialności. Mężczyźni przyglądali się tej scenie i zrozumieli, że reakcja nieznajomego może być spowodowana faktem, iż był on świadkiem niedawnego ludobójstwa. Kiedy czwórka zbliżyła się do zdjętego strachem człowieka, Pater zagał w najbardziej dobrotliwy sposób, na jaki było stać dawnego wojskowego:

– Nie bój się, nic ci nie grozi z naszej strony. Jak ci na imię?

Początkowo, zachowanie mężczyzny zdradzało, że czuje się osaczony. W końcu jednak, najwyraźniej nabrał zaufania do obcych, lub skalkulował, że i tak nie ma szans, więc rozluźnił ramiona i usiadł na posadzce, prześlizgując się wzrokiem po przybyszach. Ciągle jednak sprawiał wrażenie jakby był gotów w każdej chwili podjąć desperacką próbę ucieczki, by ratować życie.

– To jak ci na imię? – powtórzył pytanie Pater i wyciągnął rękę na powitanie.

Nieznajomy nie odwzajemnił gestu.

– Wiesz kto to zrobił? – zapytał Adam, nie owijając w bawełnę. – Wiesz, kto pozabijał tych wszystkich ludzi?

Mężczyzna przez chwilę patrzył to na otwarte drzwi to na przybyszów zanim zdecydował się odezwać:

– Przyszli wczoraj w nocy, by zabijać – wyszeptał w końcu i niemal od razu łzy ponownie popłynęły mu po policzkach. – Te wszystkie istoty – kontynuował pociągając nosem. – Obdzierane ze skóry, rozrywane na kawałki, maltretowane. Jak oni krzyczeli! Boże!
– Uniósł wzrok – Boże, czemu do tego dopuściłeś?! Czym ci zawinili?!

– Ale kto to był? – Goran naciskał, aby wydobyć więcej szczegółów.

Mężczyzna zamarł, rozejrzał się nerwowo po wnętrzu kościoła, a następnie spojrzał na zwiadowcę i oświadczył:

– Oni znowu się pojawiają.

– Co? – zapytał Karmazyn, jak gdyby nie rozumiał.

Twarz nieznajomego ponownie zajęła się przejmującym bólem.

– Nie chcę już przez to przechodzić – rzekł błagalnie, zakrywając dłońmi uszy. – Zabierzcie mnie stąd, błagam. Nie chcę już słuchać i oglądać, jak umierają ludzie. Nie chcę!

– A dlaczego ciebie zostawili przy życiu? – zapytał bez ogródek Pater.

Nieznajomy spoważniał, tym bardziej, że znajdował się teraz pod pręgierzem spojrzeń całej czwórki.

– Nie wiem. – Zmieszany pokiwał głową na boki. – Byłem tu, w kościele, kiedy to się stało. Oni... oni tu chyba nie wchodzili. Jezu...

Grupa zerknęła na wnętrze świątyni. Dopiero teraz zauważyli, że jest to jedyne miejsce, w którym w ogóle nie było śladów krwi. Jednak dyskusja dotycząca tego odkrycia nie miała się odbyć, gdyż w tej samej chwili cała piątka zauważyła przypominające ludzi postaci, które przemknęły na zewnątrz obok głównego wejścia i za oknami.

– Oni wracają – oznajmił złowieszczo nieznajomy.

– Spierdalajmy stąd, jak najszybciej – zaproponował Karmazyn płaczliwie, cedząc przez zęby, zaś reszcie wyjątkowo spodobał się ten pomysł.

–A co z nim? – zapytał Goran pokazując na nieznajomego, który wytrzeszczył oczy, jakby właśnie zorientował się, że pozostała czwórka może chcieć go tutaj zostawić na pastwę losu.

–Zabierzcie mnie ze mną, proszę. Oni mnie zabiją, gdy przyjdą – błagał, klęcząc.

– Idzie z nami, może dowiemy się od niego czegoś więcej – rozkazał Pater.

Naglęca sytuacja wykluczyła jakiegokolwiek spory dotyczące sensu przygarnięcia nieznajomego. Cała piątka wyszła ze świątyni, trzymając się blisko murów i po kilkunastu minutach, przemykając pod ścianami domów i nie niepokojeni przez nikogo, znaleźli się ponownie przy bramie, którą weszli do miasta. Kiedy ją przekroczyli, wystrzelili biegiem w kierunku majaczącego na horyzoncie, gęstego lasu, skąd wyłonili się raptem kilka godzin wcześniej. Po kilkunastominutowym, morderczym sprincie weszli w jego poszycie i ukryli się za gęstymi krzakami.

– To byli oni? – zapytał Karmazyn.

Nieznajomy przytaknął, a członkowie grupy zwiadowczej odetchnęli z ulgą, że udało im się ująć z życiem.

–Kim ty właściwie jesteś? – zapytał Adam, nie kryjąc nawet wrogiej podejrzliwości.

– Dawno temu wołali na mnie Dawid – odparł nieznajomy, jakby z wielu możliwości odpowiedzi na to pytanie ta była teraz najbardziej oczywista.

– A więc, Dawidzie – przejął inicjatywę Pater – opowiedz nam co się wydarzyło w twoim mieście i niczego nie pomijaj.

– Nie jestem stamtąd, to nie moje miasto – zaczął. - Wczoraj wieczorem przybyłem do tej osady, a ci dobrzy ludzie o wielkich sercach wpuścili mnie. Chociaż, jak się domyślacie, nie z otwartymi ramionami. Trochę trwało zanim ustalili, że jestem tylko skromnym sługą Bożym.

– Sługą Bożym? – powtórzył Goran.

– Tak – odparł Dawid. – Podróżuję i głoszę Jego słowo.
– Wędrowny kaznodzieja – pogardliwie skwitował tę wypowiedź Adam.
– Możesz mnie nazywać, jak chcesz i myśleć o mnie, co chcesz, nie mam zamiaru się obrażać – zapewnił Dawid.

– Dobra, dobra i co się stało dalej, jak już cię wpuścili? – indagował Pater, co jakiś czas zerkając w stronę miasta.

– Oczywiście, poszedłem prosto do świątyni. Chciałem się tam pomodlić, z dala od zgiełku.

– Pomodlić. Po wojnie, która zabrała cały znany nam świat, chciało ci się jeszcze modlić? – zakpił Karmazyn.

– A jakże. Modlę się, żeby wszyscy odnaleźli drogę do wiecznej szczęśliwości.

Karmazyn splunął, a nieznajomy kontynuował.

– Kiedy byłem w kościele, oddałem się bez reszty rozmowie z Bogiem. Nie wiem, ile czasu tam spędziłem, ale jakoś wieczorem, a może już w nocy poczułem, jak zabiera mnie łaska Pana. Jakoś w tym samym czasie zaczął się ten cały koszmar. Słyszałem krzyki, zdawałem sobie sprawę z otaczającego mnie cierpienia, widziałem jak ci oprawcy rozprawiali się bez litości z mieszkańcami, lecz nie mogłem w żaden sposób przeciwstawić się temu szaleństwu, jakbym stał gdzieś obok. Kiedy się ocknąłem, było po wszystkim. Zobaczyłem pobożowisko. Myślałem, że mi serce pęknie, a potem – tu spojrział na zwiadowców – a potem przyszlście wy.

– Żadna z niego skarbnica wiedzy – skomentował zrezygnowany Karmazyn. – Zostawmy go tu, bo będzie nas tylko spowalniał.

– Nie, idzie z nami - zarządził stanowczo Pater. – Lepiej mieć go pod ręką. Może coś sobie przypomni. Chodźmy. Jak nam się uda, jutro wieczorem wrócimy do domu. Będziemy maszerowali tak szybko, jak się tylko da i tak długo, jak będziemy coś widzieli. Zatrzymamy się o zmierzchu, zjemy coś, prześpimy noc i o świcie ruszymy w dalszą drogę. Liczę na to, że jeżeli grupa morderców miałaby z jakiegoś powodu zaatakować właśnie naszą wioskę, to będą musieli posuwać się wolniej i zdążymy przed nimi, żeby ostrzec naszych.

– Miejmy nadzieję, że nie wyruszyli już wczoraj – zauważył Adam, ale szybko pożałował tych słów.

Zwiadowcy nie słyszeli albo nie chcieli słyszeć tego, co powiedział Adam, tylko przytaknęli dowódcy, a zaraz potem wstali i rozpoczęli najbardziej morderczy marsz w swoim życiu. Nie mieli wyjścia, bowiem minęły już czasy, kiedy informacja potrzebowała sekund, aby okrążyć Ziemię. Nikt nawet nie pamiętał, żeby w czasie wojny, w której każdy z nich brał

udział, musiał kiedykolwiek tyle z siebie dać. Jednakże w tamtym strasznym okresie byli zaledwie małymi, zastępowalnymi trybikami w machinach ogromnych armii, tutaj natomiast los wszystkich, których znali i kochali spoczywał wyłącznie w ich rękach.

+++

– Tam – powiedział Pater, kiedy po zachodzie słońca wypatrzył wyściełane trawą niewielkie zagłębienie w ziemi, które natura otoczyła kolumnadą kilkumetrowych brzoź.

Członkowie grupy padli na ziemię, jakby nagle zostali skoszeni ogniem karabinu maszynowego i przez chwilę nie wychodzili z tej roli, leżąc bez ruchu i słuchając tego, co dowódca ma do powiedzenia.

– Zjedzmy coś, panowie, a potem sen. Dzisiaj żadnych ognisk, choćby miało nam dupy odmrozić. Ja pozostanę na warcie pierwszy. Potem, w dwugodzinnych odstępach, Adam, Goran i Karmazyn.

Kilka milczących kiwnięć głową stanowiło jednogłośnie akceptację planu Patera na nadchodzącą noc. Po ustabilizowaniu oddechu, zwiadowcy usiedli, wyjęli jedzenie, które mieli w torbach i zaczęli się posilać. Dawid najwyraźniej nie zaopatrzył się w żaden prowiant, ale też nie poprosił o niego, tylko ukląkł trochę z boku, przeżegnał się i zamknął oczy. Reszta patrzyła na tę scenę, traktując ją jako rozrywkowy dodatek do kolacji, wieńczącej wyczerpujący dzień. Po około kwadransie, mężczyzna ponownie uczynił znak krzyża i dosiadł się do grupy, a Goran rzucił mu kawałek sera i chleba.

– Zjedz coś – rzekł – bo nam opadniesz z sił, a nie licz na to, że będę cię taszczył.

Obdarowany ukląkł się w podzięcie, a następnie wbił zęby w pieczywo. Było widać, że od jakiegoś czasu nie miał niczego w ustach.

– Zawsze tak cicho się modlisz? Myślałem, że klechy bez przerwy klepią to swoje coś na głos, żeby nikt nie miał wątpliwości co do ich wiary? – zauważył sarkastycznie Karmazyn, który już skończył posiłek i teraz pocierał o siebie dłonie, żeby usunąć z nich resztki jedzenia.

Dawid doskonale rozumiał, że zwiadowca go prowokował, ale nie dał tego po sobie poznać, tylko uśmiechnął się. Można było wtedy zauważyć, że pomimo głodu, zmęczenia i zapadającego zmroku, jego twarz emanowała spokojem i jakąś wewnętrzną energią, która jednak nie okazała się zaraźliwa dla jego towarzyszy, a Karmazyna wręcz irytowała.

– Widzisz. – Dawid zaczął cierpliwie tłumaczyć. – Te wszystkie „ojczenasze”, „świętemarie” i inne, to coś, co przemawia nie tyle do Boga, co do ludzi. Myślą oni, że te głupiutkie zaklęcia mają jakąś tajemną moc, a powtarzanie ich jest miłe Panu, tymczasem jest

odwrotnie. Automatyczne wypowiedzianie tych samych formułek rozleniwia i w końcu człowiek łapie się na tym, że usta jedno, a głowa co innego. To tak, jakbym chciał porozmawiać z wami, a na każde zapytanie reagowałbym identycznym zdaniem. Tak to nie działa. Każda rozmowa z Nim to niepowtarzalne przeżycie i wymaga innych słów, a czasami nawet i one są zbędne, wręcz przeszkadzają, bowiem stanowią zbyt ograniczone narzędzie komunikacji, aby wyrazić wszystko, co się czuje, co się chce przekazać.

– To pewnie pochodzisz ze Wschodu? Tam zawsze było dużo takich nawiedzonych – zasugerował Adam, jakby ciekawe spostrzeżenia dotyczące modlitwy w ogóle go nie zainteresowały.

– Nie umiem powiedzieć – odparł natychmiast Dawid i napił się wody z butelki, którą podsunął mu Pater.

– Jak to? Każdy wie skąd jest – włączył się Karmazyn, upatrując okazji do kolejnej zaczepki.

– Będziecie się śmiać, ale ja przybywam z Nieba i do niego idę.

Tak jak Dawid przewidział, jego ostatnie zdanie wywołało śmiech.

– No to mamy tu świra. Pater, zostawmy go w tym lesie, niech idzie w cholere, gdzie chce – zasugerował Adam.

– Cicho, daj mu mówić – rzekł Goran, który jako jedyny wydawał się być zaintrygowany tym, co nieznajomy ma do powiedzenia.

Mężczyzna najwyraźniej oczekiwał tego pytania, bo rozsiadł się wygodnie i zaczął snuć swoją opowieść o przemienieniu.

– To było tak, siedziałem z rodziną, albo przyjaciółmi czy znajomymi. Naprawdę nie wiem..., niestety, nie pamiętam ich, mam w głowie tylko zamazane twarze. Zresztą, to i tak nieważne, jednak jest to ostatnie moje wspomnienie ze starego, jak ja to nazywam, życia. Oprócz tego, nie pamiętam zupełnie nic, ale jak już powiedziałem, to zupełnie bez znaczenia.

– Jak to? – zapytał Goran.

– Tamtego dnia narodziłem się na nowo. Mówię wam, panowie, to było wspaniałe uczucie. Nagle znalazłem się w Niebie. Wszystko wokół było białe, a właściwie to nie, bo... Trudno mi to opisać, bo nie umiem tego do niczego porównać... i On, który przemówił do mnie i powiedział, że od tej chwili jestem Jego głosem na Ziemi, na której niebawem znowu zapanuje pokój i harmonia. Wyzaczył mi wtedy zadanie, polecił abym udał się do pozostałych przy życiu ludzi i ogłaszał im dobrą nowinę. – To powiedziawszy, Dawid uśmiechnął się rozmarzony, by po chwili, z poczuciem jakiejś straty, wrócić całym sobą do ciemnego, ponurego lasu.

– Następne, co pamiętam, to jak obudziłem się w jakimś budynku, chyba w szkole. Miałem okropnie poobijane ciało. Nie wiem właściwie, ile czasu upłynęło, co się ze mną działo i jak się tam dostałem. Było mi zimno, czułem potworny głód i pragnienie. Zacząłem więc myszkować po tym budynku i wiecie co? Najpierw natknąłem się na automat z jedzeniem i piciem. Był zasypany, pewnie po bombardowaniu. W środku znalazłem masę dobrego jedzenia i napojów, których nie piłem już od lat. Ucztowałem jak nigdy. Następnie, w tym samym budynku, odkryłem jakiś magazyn ubrań. Wyglądało mi to na pokój z kostiumami teatralnymi lub coś w tym rodzaju. Ubrałem się w nim od stóp do głów. Rozmiecie? Godzinę wcześniej byłem skołowany, zziębnięty i przymierałem głodem, a tu nagle znajduję to wszystko. On zatroszczył się o mnie. Poczułem wtedy wewnętrzny spokój, a to, że nie pamiętałem niczego, nie martwiło mnie już wcale. Przeszłość była nieistotna, liczyła się tylko przyszłość. Całkowicie wypełniła mnie nadzieja i wiedziałem, że moją misją jest dzielenie się nią ze światem, aby ponownie zapanowały pokój i harmonia.

Adam wstał, a kiedy znalazł się za Dawidem pokazał reszcie wymowny gest jak kręci wymyśloną korbką przy skroni.

– A jednak ludzi w tamtym mieście nie dałeś rady ocalić – zauważył Karmazyn.

Dawid miał zamiar coś powiedzieć, ale to celne spostrzeżenie zwiadowcy wytrąciło mu z rąk jakiekolwiek argumenty.

– Przynajmniej będzie się komu pomodlić nad naszymi rozczłonkowanymi zwłokami – zauważył Adam, spoglądając z wyrzutem na Patera.

Zaległa chwila ciszy, po której Karmazyn powiedział:

– Dobra, dzieci historyjkę już usłyszały. Nie wiem jak wy, ale ja mam zamiar się kimnąć.

+++

Noc miała się ku końcowi. Tuż przed świtem Karmazyn, który jako ostatni pełnił wartę, zauważył ruch w kniei, a zaraz potem usłyszał trzaski i złowrogie sapanie. Mężczyzna nie musiał budzić swoich kompanów, ponieważ niepokojące dźwięki od razu przerwały ich płytki sen.

– Co się dzieje? – zapytał szeptem Pater, kiedy doczołgał się do wartownika.

– Nie wiem – odparł Karmazyn. - Chwilę temu zaczęło się jakieś poruszenie.

Dowódca odwrócił się, mrużąc oczy, aby dojrzeć swój oddział.

– Wszyscy obudzeni? – zapytał, a w odpowiedzi usłyszał całą kompanię. – Dawid też?

– Tak – odezwał się kaznodzieja.

– Na razie nic nie robimy. To mogą być tylko zwierzęta, ale przygotujcie broń, na wszelki wypadek.

– To nie zwierzęta – powiedział Dawid.

– A kto? – zapytał Goran?

Cała kompania przeczuwała odpowiedź.

– To ci, którzy byli w mieście.

– Jak możesz o tym wiedzieć, jak przespałeś wtedy cały atak? – zauważył Adam, poddając tym samym w wątpliwość osąd kaznodziei.

– Po pierwsze, nie przespałem, a po drugie to oni – natychmiast odparł mężczyzna. – Zresztą zaraz się przekonacie.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę przywódcy.

– Nie rozpierzchać się. Pamiętajcie, największe szanse na przeżycie mamy w grupie. Będziemy walczyć – zarządził Pater i uniósł maczetę.

Wtedy ich ujrzeli. Napastnicy bezczelnie wyłonili się zza krzaków, jakby nie spodziewali się żadnego oporu ze strony oddziału albo wręcz go zlekceważyli. W ciemnościach ich sylwetki wydawały się zlewać z otaczających ich mrokiem w taki sposób, że można było odnieść niedorzeczne wrażenie, iż stanowią jego część.

Dwie postaci były wysokie niemal na dwa metry. Ich blade twarze wydawały się zasysać każdy promyk światła z budzącego się dnia. Chociaż na pierwszy rzut oka, zupełnie nie kojarzyły się one z łaknącymi krwi mordercami, to cechowała je jakaś niepokojąca obojętność. W jakiś niewytłumaczalny sposób, te pozbawione wyrazu oblicza pozwalały na to, aby każdy mógł zobaczyć na nich, jak na czystym płótnie, projekcję własnego strachu.

– Nie chcemy kłopotów – zapewnił Pater, lecz agresorzy kroczyli dalej, jakby w ogóle go nie usłyszeli. – Chłopaki, dajmy im popalić – zarządził dowódca.

W tym momencie, wydarzyło się coś, czego żadna ze stojących naprzeciwko siebie stron najwyraźniej się nie spodziewała. Oto bowiem stojący za ruszającą do walki czwórką zwiadowców Dawid, przemówił. Pater, Adam, Goran i Karmazyn nie słyszeli wcześniej podobnego języka.

Po kilku wypowiedzianych stanowczym tonem zdaniach, napastnicy stanęli skonsternowani, a następnie zaczęli się sukcesywnie wycofywać. Po kilku minutach zupełnie zniknęli pomiędzy drzewami. Oszołomieni zwiadowcy nie dowierzali temu, co właśnie się stało.

– Co to miało być? – zapytał Adam. – Co im powiedziałaś?

– Nie wiem – odparł od razu kaznodzieja. – To Bóg. – Po tych słowach mężczyzna

zemdłał, osuwając się na ziemię.

Są momenty, które zatwardziały niedowiarków zamieniają w wiernych wyznawców i to był właśnie jeden z nich. Te kilka minut, może nawet tylko kilkadziesiąt sekund sprawiły, że irytujący łachmaniarz, który jak twierdził, spotkał Stwórcę, mógł mówić prawdę. Może w tym świecie, gdzie mało kto rozmawiał już z siłą wyższą, Ona nie ustawała w staraniach, aby porozumieć się z człowiekiem.

Zwiadowcy nie znali mechanizmów tego, co się właśnie wydarzyło, ale z łatwością dostrzegali rezultat tych działań. Wiedzieli dobrze, że po tym, co ujrzeli poprzedniego dnia, oraz po tym, czego byli świadkami kilka minut wcześniej, nieznajomy był im potrzebny. Problem w tym, że pomimo prób ocucenia go, ten nie dochodził do siebie. Żył, ale nie odzyskał przytomności. Od razu została podjęta decyzja, aby za wszelką cenę, przetransportować go do wioski, chociaż było jasne, że znacznie spowolni to oddział. Nie mieli jednak wyboru, możliwe bowiem, że był on jedyną szansą na to, aby ich ludzie uniknęli losu poprzedniej osady.

+++

Od wydarzeń poprzedniego poranka minęła niemal doba. Ciągle była jeszcze noc, kiedy zwiadowcy dotarli w końcu do miasteczka, które opuścili dwa tygodnie wcześniej. Nie spali tylko wartownicy, którzy po wnikliwej weryfikacji tożsamości, wpuścili ich do środka.

– Kto to taki? – zapytał jeden z nich, wskazując na nieprzytomnego Dawida.

– Później – powiedział Pater. – Adamie, przyprowadź lekarza. Może on coś poradzi? Trzeba ratować tego człowieka.

– A gdzie będziecie?

– Połóżcie go tutaj, w stróżówce – zaproponował drugi strażnik.

– Nie – sprzeciwił się Goran. – Zanieśmy go do świątyni.

Strażnicy nie rozumieli, o co chodzi, ale członkowie grupy zwiadowczej byli przekonani, że to jedyne miejsce, gdzie kaznodzieja chciałby się najprawdopodobniej znaleźć. Po kilku minutach stali już pod drzwiami kościoła, które jak zawsze były otwarte. Weszli do środka, a Karmazyn połączył ze sobą dwie ławki, na których Pater i Goran położyli Dawida. Kiedy to zrobili, usiedli obok, dysząc ze zmęczenia. Nagle w drzwiach stanął Adam z zaspanym doktorem, naczelnikiem osady i kilkoma mieszkańcami.

– Czemu nie zanieśliście go od razu do lazaretu? – zapytał lekarz z wyrzutem, odsłaniając powieki Dawida.

Goran streścił dramatyczne wydarzenia kilkudziesięciu ostatnich godzin. Słuchacze mogli być nastawieni sceptycznie do plotek, zasłyszanych wcześniej, ale zeznania naocznych świadków to było coś zupełnie innego. Przerażało ich to, ale z drugiej strony mieli po swojej stronie broń przeciwko złu. Na ich nieszczęście, ta jednak pozostawała ciągle nieprzytomna.

– I jak, doktorze? – zapytał naczelnik, żywiąc nadzieję, że medyk, który przez ostatnich kilka minut zajmował się Dawidem, przekaże mu dobre wieści.

– Cóż, wydaje się, że wszystko z nim w porządku, ale nie mogę nic więcej powiedzieć. Może w szpitalu dałoby się go zbadać bardziej szczegółowo? Ale on leży tutaj. Nie jestem pewien, czy noszenie go tam i z powrotem będzie dla niego dobre.

I wtedy rozległ się głuchy huk, a grunt pod ich nogami zadrżał. Wszyscy, oprócz lekarza wyskoczyli na zewnątrz świątyni, tam jednak panowała ciemność i nie sposób było dojrzeć źródła hałasu. Coś było jednak nie tak. Huk zbudził ludzi, ale pomimo tego, że zapalali świece w domach, ich blask był tak słaby, jakby patrzeć na niego dodatkowo przez gęstą mgłę.

To jednak nie była mgła. Również ciemność, która wszystko otaczała, nie była nocą, była czymś innym, czymś żywym. Była namacalnym złem. Nagle, wszyscy dostrzegli wszechobecny ruch, jakby z mroku wyłaniały się postaci. Pater, Adam, Goran i Karmazyn widzieli to już wcześniej.

– To oni – powiedział dowódca oddziału.

Po tym straszliwym komunikacie, z głębi świątyni dobiegł głos zapalający światełko nadziei.

– Panowie! – zawołał lekarz. – On się budzi.

– Do środka – zarządził Pater, po czym wszyscy podbiegli do Dawida, który opierał się już na łokciach. Wydawał się być oszołomionym, ale szybko odzyskiwał wigor.

– Człowieku, musisz nam pomóc. Te kanalie tu są! – zawołał Karmazyn, który z zacieklego krytyka stał się prawdziwym wyznawcą.

Po tym dramatycznym komunikacie, Dawid wstał i od razu udał się w kierunku otwartych drzwi, tam zaś kłębiły się dziesiątki, czy nawet setki postaci, które grupa zwiadowcza spotkała kilkadziesiąt godzin wcześniej. Kiedy kaznodzieja wyszedł przed mury świątyni, jego obecność sprawiła, że na zewnątrz wszystko jakby ucichło, można było nawet odnieść nedorzeczne wrażenie, że czas zwolnił. Dawid odwrócił się w stronę zgromadzonych w kościele, a za nim wyraźnie przesuwały się postaci o takich samych obojętnych obliczach jak te, które zwiadowcy widzieli wcześniej w lesie. One również patrzyły w ich kierunku, tym samym, beznamiętnym wzrokiem.

– Radujcie się, bo oto Bóg wysłał mnie, aby położyć kres waszemu cierpieniu – ogłosił Dawid uroczyście.

Kościół wypełniła pełna napięcia, ale i nadziei atmosfera wyczekiwania. Zwiadowcy odruchowo chwycili jednak za maczety, jednak nie bardzo potrafili sobie wyobrazić, jaki użytek mogliby z nich zrobić przeciwko demonicznej sile, czekającej na zewnątrz. Pozostawała im wiara w moc Dawida. Ten zaś wrócił do kościoła i stanął przed czekającymi tam mężczyznami, a położywszy ręce na ramionach Patera i naczelnika, zapytał:

– Wierzycie, że Pan jest wszechmocny?

Z braku innej strategii wszyscy przytaknęli, a kaznodzieja uśmiechnął się.

– Pan daje i pan zabiera. Pan jest ponad wszystkim. – Po tych słowach odwrócił się od nich i ponownie spojrzął w kierunku drzwi, a następnie zapytał: – Pamiętacie żonę Lota? Wiecie, dlaczego zmieniła się w słup soli?

Chociaż nikt z obecnych nie był specjalnie religijny, to jednak historia zagłady Sodomy i Gomory, jak wiele innych opowieści z Biblii były wiedzą powszechną. W tym nieoczekiwanym pytaniu czaiło się jednak coś przewrotnego, coś co Dawid miał zaraz wyjawić, a zebrani w kościele już wyczuwali, lecz bali się to przyznać.

– Zobaczyła jak Bóg, który dawał życie, odbierał je w najbardziej brutalny i okrutny sposób, oraz jak sycił się przy tym swoim dziełem zniszczenia. – To powiedziawszy kaznodzieja zaczął się śmiać szyderczo, zaś jego ciało wzleciało w powietrze i uległo przemianie. Wyglądało teraz jak zrobione z gęstego czarnego dymu, który w jednej chwili wystrzelił przez drzwi świątyni.

Wtedy Pater i inni zrozumieli, w jaki sposób wszechmocny Bóg przywróci na Ziemi pokój i harmonię.

+++

Kaznodzieja obudził się przed ołtarzem. Było już południe, ale wioska sprawiała wrażenie opustoszałej. Panował w niej niczym niezmacony spokój. Mężczyzna ukląkł przed krzyżem i przez chwilę rozmawiał z Bogiem, po czym wstał i wyszedł na przyozdobione czerwienią ulice, jak robił to już nieraz. Po kilku minutach minął główną bramę i wspierając się na kiju, udał się na południe. Tam zostało jeszcze kilka osad, które on i jemu podobni muszą odwiedzić, tam także potrzeba, aby zapanował pokój i harmonia. Bóg go poprowadzi.

Na południe.



NIKCZEMNA WYPRAWA

DR. SARXA

Ernest Smutałski

W milczeniu, nieco znudzony przyglądałem się, jak towarzyszący mi starszy, wychudzony mężczyzna zamaszystym ruchem rachitycznej ręki podnosi trzymaną tekturową walizkę i z hukiem rzuca bagaż na laboratoryjny stół. Bez słowa podniósł dwie metalowe klapki i wieko z cichym kliknięciem gwałtownie stanęło na baczność, odsłaniając swoją

zawartość. Nawet nie musiałem tam zaglądać. Przed oczami miałem wyłożone zielonym ręcznikiem frotte dno i misternie ułożone na nim metalowe przedmioty – cylindry, kule, druty, druciki oraz kilka pustych, szklanych fiolek z kolorowymi zatyczkami z gumy. Staruszek pochylił się nad teczką i tak, jak robił to od lat, a przynajmniej odkąd skrzyżowały się nasze drogi, zaczął sprawdzać, czy niczego nie brakuje.

Doktor Ezra Sarx już dawno powinien być martwy. Tak przynajmniej sugerował jego wygląd. Proszę bowiem wyobrazić sobie chudego, patykowatego staruszka ubranego w tani garnitur, którego mdły, nieprzyjemnie musztardowy kolor tylko potęguje i tak już przykre wrażenie. Do tego należy dodać jeszcze szarą, cuchnącą naftaliną koszulę z zatkniętym w kieszeń na piersi tanim długopisem, spodnie o zbyt luźnych nogawkach i stare, niemodne od dziesięcioleci pantofle na niskim obcasie. Okropność, czyż nie? W najlepszym wypadku wywołujące nieprzyjemne uczucie kuriozum, a nie zacząłem nawet jeszcze opisywać fizjonomii doktora Sarxa.

Głowa doktora jest malutka, nieproporcjonalna do reszty ciała i niemal doskonale okrągła. Tu i ówdzie porastają ją pojedyncze kępki włosów, czarnych u podstawy i żółtoszarych przy końcach. W głowę tą, niczym w łeb bałwana, nieco za mocno, a z pewnością niesymetrycznie wciśnięto drobne, niebieskie oczy. Wyłupiaste i rozmyte, ukryte za okrągłymi, grubymi okularami, nadawałyby fizjonomii doktora nawet nieco sympatycznego komizmu, gdyby nie to, że wydawały się nigdy nie mrugać i nigdy nie ruszać. Resztki brwi, smutnie wiszące nad oczami doktora Sarxa są nieprzyzwoicie długie. Przypominają odnóża pajaków, tych o długich nogach, które w słoneczne dni wygrzewają się na ścianach opuszczonych domów. Nos jest wąski i spiczasty, podbródek nieco za bardzo cofnięty, a zapadnięte policzki pokrywa bezkształtny, niechlujnie przycięty zarost. Twarz doktora szpeci jednak coś jeszcze – usta. Wąskie, przypominające bliznę zaróżowione pęknięcie, którego koniuszki lekko wznoszą się ku górze, nadając jego twarzy prześmiewczego wyrazu garbatego błazna. Usta kryją dosłownie kilka żółtawych zębów i pokryty szarym nalotem język.

Jest jednak w twarzy doktora coś pięknego – jego uszy. Ani za duże, ani za małe, idealnie odchyłone względem okrągłej czaszki. Nie porasta ich żaden, nawet pojedynczy włos, włosek ani żaden meszek. Uszy doktora mają doskonałe proporcje. Przypominają wyrzucone na plażę białe, pięknie uformowane muszle. Uwielbiam się im przyglądać i robiłem to też wtedy, tego dnia, kiedy wraz z doktorem Ezrą Sarxem udaliśmy się na jego kolejną, nikczemną wyprawę.

– Wszystko mam. Możemy jechać – cichy, ledwo żywy głos zaświszczał niczym wdzierający się przez szczelinę w drzwiach podmuch wilgotnego, chłodnego wiatru. – Dzisiaj może się nam udać! Dzisiaj możemy odnieść sukces i zapisać się w historii świata. Możemy udowodnić, że mam, że zawsze miałem rację, a oni się mylili. Rozumiesz?

Doktor Ezra Sarx odwrócił się gwałtownie w moją stronę. W pozycji, w której się znalazł, doskonale widać było szpecący jego plecy garb. Niebieskie oczy wbiły się we mnie niczym pociski. Doktor stał i oddychając płytko wpatrywał się we mnie z oczekiwaniem. Wiedziałem dokładnie na co czeka, wiedziałem też, co powinienem powiedzieć, a jednak milczałem. Nienawidził, gdy zwlekałem z odpowiedzią. Zaczynał wtedy nerwowo szczypać swoją idealnie okrągłą głowę długimi, szarymi paznokciami. Było w tym zachowaniu coś ohydnie owadziego. Przypominał wtedy wyrosniętego, koszmarnego insekta i widok ten, pomimo że niezwykle nieprzyjemny, dawał mi jednak pewną satysfakcję. Jakbym zaspokajał ciche, nigdy niewypowiedziane na głos pragnienie oglądania obrzydliwości.

– Rozumiem, oczywiście, że rozumiem, doktorze Sarx – odparłem w końcu i doktor odetchnął z ulgą. – Jeśli nam się uda, incydent pańskiego życia w końcu zostanie usprawiedliwiony. Przejdzie pan do historii, a czas, który pan tu spędził, nie okaże się totalnym marnotrawstwem.

– Przestań, milcz już – odparł szybko niezadowolony. – Ten czas tutaj zawsze będzie marnotrawstwem, kosmiczną stratą czasu i energii. Niczego się nie nauczyłeś! Co z ciebie za asystent. Nie słuchasz mnie, chodzisz rozkojarzony, całymi dniami po prostu łazisz za mną i bezmyślnie kiwasz głową. Wszyscy jesteśmy tutaj niepotrzebni. Pragnienia naszych ojców i matek, ich zwierzęce ciągoty do spółkowania ze sobą pod przeпоconymi pościelami nie usprawiedliwiają naszego bycia – doktor zachnął się, a jego twarz wykrzywił grymas obrzydzenia. – Musimy jechać.

– Gdzie tym razem? Objechaliśmy chyba już całą okolicę, zajrzeliśmy pod każdy kamień, w każdą norę. Nic się nie zmieniło.

– Mylisz się, mylisz – doktor ponownie wlepił we mnie wzrok, a jedna z rąk bezwiednie zaczęła szczypać skórę na policzku. – To ewoluuje, zmienia siebie, zmienia natężenie i miejsce. Jednego dnia jest tu, drugiego tam, a trzeciego jeszcze gdzie indziej. Nie sądz, że jesteś ode mnie mądrzejszy. Nie łudź się, że rozumiesz naturę tego lepiej niż ja. To moje odkrycie, ty jesteś tylko pomocnikiem...

Doktor cały się trząsł. Jego głowa kiwała się na boki, jak odbijana od ziemi piłka pingpongowa, a długie paznokcie szczypały aż do krwi skórę na policzkach, głowie i szyi. Zauważyłem, że od pewnego czasu doktor Sarx był bardziej nerwowo i neurotyczny niż

zwykle. Tłumaczyłem to sobie kolejnymi niepowodzeniami, które ponosił w trakcie swoich badań. Cała kariera doktora Sarxa, odkąd zrezygnował z prowadzenia jednej z uniwersyteckich katedr, była pasmem porażek i chybionych oświeceń. Mimo to staruch wciąż upierał się przy swoich przekonaniach, wydając na to gromadzone latami pieniądze. Wciąż szukał dowodów na poparcie swojej obmierzłej tezy, chociaż dawno powinien już nie żyć. Spostrzeżenia te zachowałem oczywiście tylko dla siebie.

– Teraz jesteśmy blisko, bardzo blisko – wyszczerzył się w żabim uśmiechu i cicho zachichotał. – Znam pewne miejsce – dodał i wręczył mi skrawek papieru z zapisanym na nim adresem. – Zawieszysz mnie tam.

Skinałem głowę. W milczeniu przyglądałem się, jak stając nieporadnie na palcach, doktor zdejmuje z wieszaka czarny kapelusz oraz czarny płaszcz i zakłada je na siebie. Wyglądał teraz upiornie. Nie było jednak w owej upiorności dostojeństwa, które było chociażby od hrabiego Draculi albo innego wielkiego złoczyńcy, który mógłby budzić szacunek. Upiorność doktora Sarxa była pospolita, brzydka i mało ekscytująca. Kojarzyła się raczej z onanizującym się w bocznej uliczce bezdomnym.

Wyszliśmy na zewnątrz. Ostre, sierpniowe słońce pomimo późnej godziny wciąż mocno świeciło. Założyłem okulary przeciwsłoneczne i zrównując chód z drobnymi, niemal dziecięcymi krokami doktora ruszyłem w stronę samochodu.

– Nie jest doktorowi za gorąco? Jest pewnie ze trzydzieści stopni.

Doktor odpowiedział mi, nawet na mnie nie patrząc.

– Oczywiście, że mi gorąco. Jakże miałoby nie być mi gorąco? Co za pytanie? Nie dlatego noszę ten czarny płaszcz i kapelusz. Nie dlatego, że mi zimno lub boję się opalenizny, albo raka skóry. Ciepło rozprasza – mówił, cały czas drobiąc malutkimi, chwiejnymi krokami. – Ciepło rozleniwia, otępia umysł. Jak udowodnić, że mam rację, gdy mój umysł będzie ociążały i ciekący niczym topniejący w herbacie plaster miodu. Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Bo wiedz – doktor Sarx zatrzymał się nagle i spojrzał na mnie, przechyliwszy owadzio głowę – jeśli mi się nie uda, musisz kontynuować moje dzieło. Ludzie muszą poznać prawdę. Nie masz innego wyjścia, tylko wynieść moje imię na piedestał. Tak, na piedestał, który rzuci cień na cały świat.

– Obawiam się, że ludziom i tak na tej prawdzie nie zależy – odpowiedziałem, nie patrząc na niego.

– Może i nie zależy teraz, ale gdy odsłonię przed nimi kurtynę iluzji, za którą do tej pory żyli, padnie na nich blady strach i zrozumieją. Będą mi dziękować, że przejrzeni na oczy, że uwolnili się z kajdan, w których urodzili się ich ojcowie, ojcowie ich ojców, no i oni sami.

– Może i tak – ziewnąłem i otworzyłem przed doktorem drzwi do samochodu.

– Znasz adres? – spytał, a ja twierdząco skinąłem głową. – Doskonale. Jedź bezpiecznie, a ja się w tym czasie prześpię. Miałem bardzo ciężką noc.

Adres, który otrzymałem na kartce, zlokalizowany był niemal w samym centrum miasta, w którym mieszkaliśmy. Dawno nie odwiedzałem tamtych rejonów, więc nie bez ciekawości przekręciłem kluczyk w stacyjce. Oczekałem, aż przyjemnie chłodne powietrze wypełni samochód, włączyłem radio i ruszyłem pod adres, który wręczył mi doktor Ezra Sarx.

Jechaliśmy szeroką, trzypasmową autostradą. W lusterku widziałem powoli chowające się za horyzontem słońce. Po obu stronach jezdni rozległe, parterowe domki jednorodzinne powoli ustępowały wysokim, zbudowanym z czerwonej cegły blokom i magazynom. Zbliżaliśmy się do serca miasta, które już jakiś czas temu zostało opuszczone przez tych, których było na to stać. Cała reszta – biedota i patologia – została na miejscu i uczyniła sobie tę ziemią poddaną. Centrum, niegdyś jasne i pełne życia, powoli, lecz nieuchronnie zaczęło upadać kilkanaście lat temu. Nagle to, co przyciągało tu ludzi, zaczęło ich odstraszać i męczyć. Zaczął obowiązywać nowy trend, nowa moda. Nastał czas exodusu, w którym ci, którzy byli wystarczająco bogaci wyprowadzili się na przedmieścia, jakby z dnia na dzień zapominając o swoim dotychczasowym życiu i upodobaniach.

Tymczasem droga zwężyła się do jednego pasa i utknęliśmy w korku. Sznur samochodów, niczym prowadzone do ubojni, krwawiące z trzewi czarnym dymem zwierzęta, jechał powoli do przodu. Wyłączyłem klimatyzację. Odniosłem wrażenie, że na zewnątrz zrobiło się wyjątkowo chłodno i nieprzyjemnie. Wrażenie to potęgowały pojedyncze smugi zachodzącego słońca, które odbijały się w brudnych, czarnych oknach opuszczonych biurowców i sklepów. Rzucane przez budynki cienie upadały w ciszy na jezdnię niczym pomniki bałwanów, niszczone przez krzewicieli nowej wiary. Radio zaczęło nieprzyjemnie trzeszczeć. Co jakiś czas udawało mi się wyłapać pojedyncze dźwięki i słowa, szybko jednak dałem sobie z tym spokój i zdenerwowany wyłączyłem je, żałując, że samochód doktora Sarxa nie posiada wejścia USB.

Doktor spał w najlepsze. Sącząca się z kącika ust szara ślina utworzyła na kołnierzu płaszczka już całkiem sporych rozmiarów plamę. W przeszłości wielokrotnie zdarzało mi się widzieć doktora Sarxa, gdy spał i za każdym razem wyglądał o wiele bardziej zdrowo i żywo niż wtedy, kiedy był przytomny. Gdy spał, wyglądał po prostu jak biedny, umęczony życiem nieszczęśnik, co wbrew mojej woli wywoływało we mnie uczucie współczucia i troski. Ciekaw byłem, jakie sny śni ten mały, nikczemny człowiek, jednak bałem się o to zapytać.

Samochód przede mną zatrzymał się nagle. Dosłownie w ostatniej chwili wcisnąłem hamulec i tylko cudem nie wjechałem w jego bagażnik. Nerwowo oczekiwałem aż uderzy we mnie samochód jadący z tyłu, lecz ku mojej uldze nic takiego się nie wydarzyło. Chwilę potem powietrze przeszło trąbienie agresywnie wciskanych klaksonów oraz wycie zbliżającej się w naszym kierunku karetki. Niebiesko-czerwone światła odbijały się w ciemnych szybach pustych, zamkniętych sklepów, przy których akurat się znajdowaliśmy. Migocząc, nadawały dawno zapomnianym i pustym przestrzeniom pozory życia, tak jak makijaż położony na zimne ciało trupa ma upodobnić go do osoby, którą był przed śmiercią. Wtedy też po raz pierwszy w pełni pojąłem, że miasto, które kiedyś tak dobrze znałem naprawdę umierało, a ja poruszałem się jego stygnącymi, zaciśniętymi żyłami niczym zagubiona krwinka.

Z kilku samochodów przede mną wyszli wyraźnie zaciekawieni kierowcy, którzy zebrawszy się w małą grupkę, nerwowo o czymś dyskutowali. Spojrzałem na śpiącego obok doktora Sarxa. *Skoro śpi i tak nic tu po mnie*, pomyślałem, i wysiadłszy z auta ruszyłem w kierunku powoli rosnącego tłumu. Wbrew moim przypuszczeniom na zewnątrz wcale się nie ochłodziło. Nagłe uderzenie gorąca sprawiło, że zakręciło mi się w głowie i niemal w ostatniej chwili oparłem się o maskę samochodu. Wziąłem kilka głębokich oddechów. Rozpiąłem kolejny guzik białej koszuli, podciągnąłem rękawy i ostrożnie podszedłem do żywiołowo rozmawiających mężczyzn.

Szedłem ostrożnie, przygotowując się na to, że zobaczę potwornie zmasakrowane ciało potrąconego przechodnia. Przez moment moja ostrożność wydała mi się głupia. W trakcie pracy z doktorem Sarxem widziałem przecież tyle ohydnych, obrzydliwych rzeczy, a mimo to wizja ludzkiego trupa wywołała we mnie niepokój. Może to nie wizja trupa, ale bezwstydnie obnażona przypadkowość ludzkiego życia tak mną wtedy wstrząsnęła?

– Nie widziałem go, jak słowo daje! Wskoczył nagle na ulicę i jak uderzył o maskę, to usłyszałem tylko łubu-du, a potem dźwięk pękającej szyby. Kto mi to naprawi?! Przecież rodzina tego bandyty pieniędzy na pewno nie ma. – Niski, modnie ubrany mężczyzna nachylał się nad maskę sportowego samochodu. Facet był widocznie zdenerwowany. Jego ramiona, kark i plecy porastały gęste, czarne włosy, a z szyi zwisał ciężki, złoty łańcuch. Przetarł dłonią spocone czoło i podniósł drogie przeciwsłoneczne okulary.

– Ano nie ma, na pewno nie ma – odezwał się grubas ubrany w czerwoną koszulę i krótkie niebieskie spodenki. Wyglądał mi na bankiera w trakcie urlopu. Gdy mówił, żywo gestykułował rękoma, dzięki czemu mogłem dojrzeć duże, ciemne plamy potu spływającego

pod pachami i obwisłymi, tłustymi ramionami. – Znam takich jak on. Całymi dniami stoją pod biurami, śmieją się i żebrzą, a wieczorami Bóg wie za co piją, ćpają i awanturują się.

– Tak, dokładnie. Ma pan rację. Absolutną rację – zgodziła się chuda niczym wykałaczką kobieta zapakowana w ciasny, kremowy komplet markowej odzieży. – Znajoma u fryzjera opowiadała mi, że była świadkiem, jak tacy jak on w biały dzień włamali się do jubilera. Banda dzikusów! To jest hołota, proszę panów. To powinno się zamknąć! Wywieźć! Odstrzelić! Oni stanowią realne zagrożenie dla uczciwych obywateli.

– Tak, tak! – Niski mężczyzna zgodził się ochoczo i zapalił papierosa. – Co gorsza, mnożą się jak króliki po norach i zobaczą państwo, że za dziesięć, dwadzieścia lat, takich jak my już nie będzie. Przegonią nas stąd albo sami uciekniemy, bo nie będziemy w stanie żyć w sąsiedztwie takiego robactwa.

Podszedłem trochę bliżej. Między nogami zgromadzonych gapiów dostrzegłem twarz trupa. Przez środek cofniętego, pofałdowanego czoła ściekała strużka krwi, która w milczeniu wsiąkała w rozgrzany asfalt. Oczy miał otwarte. Promienie zachodzącego słońca i światła nadjeżdżającej karetki odbijały się w martwych, wystygłych białkach. Ręce trupa leżały rozrzucone pod nienaturalnym kątem, podobnie jak nogi. Był martwy jak to miasto.

Poczułem satysfakcję. Nie do końca wiedziałem z czego, ale nie musiałem przecież wszystkiego rozumieć. *Kolejny trup złożony w ofierze martwemu miastu*, pomyślałem, i zawstydzony tą patetyczną myślą wróciłem do samochodu, gdzie doktor Ezra Sarx nadal spał.

– Proszę wstawać, jesteśmy na miejscu – delikatnym szarpnięciem wybudziłem doktora ze snu. Spojrzył na mnie nieprzytomnym, zaspanym wzrokiem, który zogniskował się dopiero po chwili.

– Jesteś pewien? – spytał, ziewając i wyjrzał przez szybę.

– Tak, jestem. Co teraz?

– Teraz czekamy. Jest jeszcze za wcześnie.

Staliśmy na wyludnionej ulicy, przed obskurną, starą kamienicą. Szare, brudne ściany pokrywała sieć fantastycznie ciągnących się zacieków. Gdzieś pod elewacji wystawały fragmenty czerwonych cegieł, które w towarzystwie licznych pęknięć i odprysków potęgowały i tak przygnębiające wrażenie. Jednak tym, co najbardziej mnie uderzyło, były rzędy pustych, czarnych okien. W niektórych z nich wisiały smutnie brudne, obszarpane firany, podrywane co jakiś czas podmuchami wieczornego wiatru. Przypominały duchy nawiedzające stare, położone na cuchnących moczarach zamczysko. Teren przed kamienicą,

wąski pas wysuszonej, żółtej trawy, pokrywały kawałki gruzu, psie odchody, potłuczone butelki i pety.

– Co my tu właściwie robimy? Skąd doktor dowiedział się o tym miejscu?

Ezra Sarx spojrział na mnie i uśmiechnął się gadzio. Wyglądał tak obrzydliwie, że miałem ochotę złapać go za fraki i tłuc, dopóki starczy mi sił. Musiał to dostrzec, bo jego oczy zmrużyły się czujnie, jakby w obawie.

– Cóż, poznałem pewną kobietkę, która opowiedziała mi o tym miejscu. Spotkałem ją w barze przy wylotówce z miasta. Desperatka – zachichotał. – Gołym okiem widać było, że jest nieszczęśliwa, że nosi w sobie ciężar, którym chce się podzielić. Nie mogłem do niej nie podejść, taka okazja nie zdarza się często.

Poczułem, jak wzbiera we mnie fala mdłości i obrzydzenia. Nie chodziło tu nawet o to, że doktor i owa nieznajoma kobieta mogliby trafić do łóżka. Wiedziałem, że doktor Sarx jest potworem, który rozsmakowuje się w cudzej krzywdzie i smutku. Ezra Sarx pod pretekstem pocieszania w subtelny, pajęczy sposób pogłębiał jedynie smutek w swoich już i tak zrozpaczonych rozmówcach.

– Ta biedna ptaszyna pracowała w zakładzie opieki społecznej, czy czymś równie bezużytecznym. Wlałem w nią trochę podłego alkoholu i po którejś kolejce zaczęła opowiadać o swojej ciężkiej pracy i o nieszczęściu, z którym spotyka się na co dzień. Och, byłem w siódmym niebie.

– Domyślam się – odparłem cierpko i zerknąłem przez szybę. Betonowym, popękany chodnikiem szła właśnie para dziko wyglądających mężczyzn. Nosili dziwaczne, dziurawe ubrania, mieli skołtunionie, brudne włosy i powarkiwali na siebie niczym rozjuszone psy. Jeden z nich, ten, który pchał przed sobą koślawy sklepowy wózek wybełkotał coś niezrozumiale do swojego kompana, który stanął nagle, przechylił trzymaną w dłoniach plastikową butelkę po wodzie i odrzucił ją gniewnie na bok. – Pusta – warknął wściekle i obaj mężczyźni, zataczając się, ruszyli dalej.

– No i ta niczego nieświadoma ptaszyna – kontynuował doktor Sarx – opowiedziała mi właśnie o tym miejscu. Nawet nie wie, jaką przysługę mi wyświadczyła. Pewnie zalana w trupa wciąż kiwa się na barowym stoliku i czeka aż wrócę z kibla. – Sarx zaśmiał się, a jego śmiech obrzydził mnie.

– No i co dalej? Dlaczego tu jesteśmy?

Sarx spojrział na mnie zdziwiony. W jego oczach dostrzegłem, że ma mnie za skończonego kretyna, ale nie przeszkadzało mi to. Bałem się, że gdy któregoś dnia zaczną

myśleć jak on i rozumieć o czym mówi, to wtedy część mnie, ta lepsza część mnie, przepadnie na zawsze.

– Świat jest jedną wielką ropiejącą raną – odrzekł spokojnie, wpatrując się w czarną bryłę bloku. – Krwawi z tyłu wstydliwych miejsc, pęka i zabliznia się na nowo, jednak nigdy nie zostanie do końca wyleczony. Jest w tym jakaś przykra bezmyślność, jakiś elementarny brak znaczenia. Naturą świata jest to, żeby krwawił i cierpiał jako wiecznie niegojąca się rana. Nawet jeśli gdzieś daleko uda się zatrzymać krwawienie, to w innym miejscu rana otwiera się na nowo, a zakrywający ją strup odpada z hukiem topniejącego lodowca. Jesteśmy właśnie w takim miejscu – doktor Sarx odwrócił się do mnie. Jego oczy lśniły niezdrową fascynacją, a palce nerwowo szczypały skórę twarzy. – Może nie jest zbyt spektakularne – zachichotał obmierzłe – ale jestem pewien, że coś tu znajdziemy. Wychodzimy.

Energicznym ruchem pchnął drzwi i stękając z niezadowolenia, wygramolił się na zewnątrz. *Przecież mogę stąd odjechać. Przekręcę klucz w stacyjce i powoli ruszę, ignorując wymachiwanie rękami i wściekłe krzyki protestu. Odjadę, zabiorę rzeczy z wynajmowanej kawalerki i ruszę gdzieś daleko, byle dalej od doktora Sarxa, pomyślałem.*

Byłem rozdarty. Znalazłem się w klasycznym decyzyjnym rozkroku. Ciężar decyzji był ogromny, miażdżył mnie. Mój szpagat robił się coraz pełniejszy i słyszałem już powoli pękające w kroku spodnie oraz wyłamujące się ze stawów kości. Chciałem uciec. Współpraca z doktorem Sarxem była czymś haniebnym i na wskroś podłym. Wiodła tylko w jedną stronę, w stronę wilgotnego, zimnego pęknięcia w murszejącej ścianie dawno porzuconego budynku, z którego środka, przez rozbite szyby dochodzi ciche szeptanie, które chociaż niewątpliwie obmierzłe i złowieszcze, jest dla mnie także w katastrofalny sposób kuszące.

Wyszedłem z samochodu i stanąłem obok doktora Sarxa. Po jego twarzy rozpełzł się nikczemny uśmiezek kogoś rozmiłowanego w cudzym nieszczęściu. – Idziemy – oznajmił, i skierowaliśmy się w stronę zapuszczonego, obskurnego bloku, w którego pustych, czarnych oknach trzepotały z furją brudne zasłony.

Stanęliśmy przed klatką schodową. Panował w niej nieprzyjemny półmrok. Odrapane, pomazane ściany stanowiły milczącą kronikę upadku tego miejsca. Podłogę zaśmiecały brudne szmaty, opakowania po chipsach, puste puszki i butelki. Ostrożnie postawiłem krok do środka i natychmiast zaniosłem się kaszlem. Łzy napłynęły mi do oczu, poczułem, że się duszę. Obrzydliwy smród szczyn i gówna niemal pozbawił mnie przytomności. Zgięty w pół, z ręką przy ustach kaszlałem, niemal wypluwając płuca. Doktor Sarx bez słowa minął mnie w przejściu. Załzawionymi oczami dostrzegłem, że kiwa głową z zadowoleniem.

– No, nie mazgaj się już. Bywaliśmy w gorszych miejscach. Pamiętasz ten burdel przy wylotówce z miasta? Tam dopiero był smród. Chodź.

Na samo wspomnienie tamtej wyprawy ugięły się pode mną nogi. Z trudem wyprostowałem się jednak i ruszyłem za doktorem, który zaczął wchodzić po schodach.

Niemal całą powierzchnię ścian pokrywały bazgroły, obsceniczne rysunki, a tu i ówdzie zdało mi się, że dostrzegłem także ślady zaschniętej krwi. Panujący półmrok potęgował wypełniającą to miejsce atmosferę upadku. *Atmosfera upadku. Zaczynam mówić jak Sarx. Jeszcze moment i sam zacznę belkotać o duchowej mapie metropolii i ekonomii rozkładu*, skarciłem sam siebie i ruszyłem za Sarxem.

Gdy byliśmy na półpiętrze, potknąłem się nagle i niemal uderzyłem twarzą o ścianę.

– Ciszej! Co ty robisz! – syknął Sarx i odwrócił się do mnie.

– Mało co widzę w tym półmroku. Potknąłem się o coś – odparłem i spojrzałem za siebie. W poprzek podłogi leżał zwinięty w kłębek mężczyzna. Przez moment chciałem się ludzić, że to dywan, albo toból pełen wykradzionych ubrań.

– On nie żyje! – Głos ugrzązł mi w gardle. Czemu krzyknąłem? Przecież widziałem już gorsze rzeczy. Choćby ten potrącony dzisiaj chłopak. *Czemu krzyknąłem? Czemu?!*, powtarzałem w myślach jak mantrę, nie rozumiejąc, co się ze mną stało. Drżącymi rękoma wyciągnąłem telefon i niezdarnie starałem się wybrać numer na pogotowie. – Doktorze Sarx, musimy coś zrobić! Niech go pan ratuje! Ktoś mógł nas widzieć! Mogą nas oskarżyć o morderstwo! – Telefon podskakiwał mi w drżących rękach. – Musimy coś zrobić.

– Cicho, milcz, zamknij się – doktor Sarx spiorunował mnie wzrokiem.

– Ale... przecież musimy... – zacząłem niepewnie, ale zamilkłem pod jego władczyim spojrzeniem.

– Nic nie musimy, głupcze – Sarx nachylił się nad leżącym bez ruchu ciałem i w milczeniu przyglądał mu się przez chwilę. Głowa doktora kiwała się bezwiednie. Wyglądał teraz jak pająk, który lada moment zatopi w ofierze ociekające trucizną szczękoczułki. Uchwycona w półmroku garbata sylwetka nachylającego się nad ciałem doktora wywołała u mnie przerażenie. Przez chwilę pomyślałem nawet, aby uciec. Przepchnąć doktora, zbiec po schodach i odjechać, albo po prostu wyskoczyć przez znajdujące się na półpiętrze brudne okno.

– Żyje, ten człowiek żyje – oznajmił. Odniosłem wrażenie, że w głosie starego nikkzemnika usłyszałem rozczarowanie. Ja tymczasem odetchnąłem z ulgą.

– Cuchnie wodą, potem, szczynami, brudem. Żyje. Chociaż to pewnie jego największy problem. Idziemy dalej, mieszkanie, którego szukamy jest tuż, tuż – Sarx obszedł nieprzytomnego mężczyznę i ruszył w górę po schodach.

– Największy problem? – powtórzyłem.

Sarx nawet nie odwrócił się w moją stronę. Usłyszałem tylko jego ciche sapanie, gdy powoli pokonywał kolejne stopnie.

– Jesteśmy – znajdowaliśmy się na drugim piętrze kamienicy. Doktor Ezra Sarx stanął przed uchylonymi drzwiami, które koślawo wisiały na zardzewiałych zawiasach. Z kieszeni płaszcza wyciągnął niebieskie, gumowe rękawiczki i nie bez trudu oblekł w nie swoje rachityczne dłonie. Starzec spojrzał na mnie, upewniając się, że robię to samo. Gdy obaj skończyliśmy, doktor Sarx pchnął ostrożnie drzwi. Uchyliły się z nieprzyjemnym zgrzytem, ukazując panującą wewnątrz biedę, brud i upadek.

– Chyba się udało! – Usłyszałem podekscytowany głos Sarxa, który zniknął już w wąskim, zagraconym korytarzu.

Podłoga zawalona była pustymi pojemnikami po jedzeniu, kartonami, a przede wszystkim opróżnionymi butelkami po tanim alkoholu i puszkami po podłym piwie. Gęste, ciężkie powietrze przesycił smród rzygowin, trawionego alkoholu i petów. Panujący wszędzie upał wyciągał z zakamarków mdławą słodycz niemytych ciał. Z sufitu zwisały grube nici brudnych pajęczyn, a spod wypaczonej, odstającej od ścian boazerii wypełzały karaluchy i pluskwy. Tu i ówdzie dostrzegłem przebiegającego ukradkiem szczura.

– Chodź, nie mamy dużo czasu – ponaglił mnie.

Sarx wchodził właśnie do salonu. Jego centralną część stanowił duży stół, przy którym spali półnaczy, brudni mężczyźni. Na blacie wałały się puste butelki po wódce oraz stosy cuchnących niedopałków, które z miejsca, w którym stanąłem, wyglądały jak napuchnięte, pomarańczowe czerwie wypełzające z półotwartych, toczących ślinę ust. W brudnych talerzach śmierdząca breja przyciągała tłuste muchy, karaluchy, prusaki i mrówki. Nad stołem wisiała ledwo żarząca się żarówka. Pod ścianą naprzeciwko wejścia stał rozbebeszony tapczan, na którym piętrzyły się kłęby brudnej, cuchnącej pościeli. Spod niej wystawała para kobiecych nóg w poprzecieranych rajstopach. Wszystko to, niczym woal, oblewały strugi szarego światła, wpadające przez szpary między zasłonami.

Mdławy, słodki odór nieczystości i ostry, kwaśny zapach potu mieszały się w tym zapomnianym kręgu piekieł.

Sarx po cichutku, niczym skrytobójca, postawił walizkę na krawędzi stołu i ostrożnie ją otworzył. Drgnąłem, usłyszawszy charakterystyczne kliknięcie. Bałem się, że taka niezapowiedziana wizyta rozjuszy lokatorów. Na całe szczęście nic takiego jednak się nie stało.

Doktor Sarx wyjął z walizki metalową menażerię i natychmiast zaczął ją skręcać. Już po chwili dziwaczna konstrukcja składająca się z kul, drutów i szkła stanęła na stole. Czegoś takiego nie widziałem nigdy w swoim życiu i chociaż z doktorem Sarxem spędziłem już jakiś czas, to widok tej dziwnej maszynerii wciąż mnie zdumiewał.

Trzon konstrukcji stanowił aluminiowy stelaż, od którego odchodziło pięcioro metalowych ramion. Z dwóch z nich zwisały srebrzące się metalowe kulki, które wprawione w ruch zaczynały cicho bzyceć. Kolejne dwa ramiona zakończone były kwadratowymi zbiorniczkami, w których doktor Sarx umieszczał po trzy szklane fiolki. Do piątego ramienia doktor przymocował kilka drobnych lusterek wokół których owinał trochę drutu. Konstrukcję wieńczył przypominający literę Y element. Pomiędzy jego ramionami, zakończonymi świecącymi na żółto diodami trzaskały drobne wyładowania elektryczne. Nie wiem, co napędzało tę tajemniczą maszynę. Czy działała na baterie? Czy musiała być wcześniej naładowana? Nie wiem. A nawet gdyby z jakichś powodów doktor podzielił się ze mną tą tajemnicą, pewnie i tak bym jej nie zrozumiał.

Doktor Ezra Sarx przypominał teraz szamana tańczącego wokół totemu swojego nikczemnego plemienia. Ostrożnie dokręcał wszystkie elementy, sprawdzał ich stabilność, z chirurgiczną dokładnością poprawiał, montował i kręcił. Śpiący przy stole mężczyźni nie reagowali. Odniosłem natomiast wrażenie, że muchy, które latały do tej pory ospale wokół stołu jakby nagle ożyły.

Dziwaczna konstrukcja doktora Sarxa zatrzeszczała cicho. Zwisające z jej ramion kule zaczęły kręcić się wokół własnej osi. Orbitowały coraz szybciej i szybciej, aż w końcu przypominały rozmazaną plamę srebrnego światła. Pomiędzy wieńczącymi konstrukcję ramionami co chwila trzaskały krótkie wyładowania elektryczne. Maszyneria zaczęła drżeć i buczeć. Hałaśliwy zgrzyt robił się coraz głośniejszy. Metalowe pojemniki zaczęły podskakiwać. Sarx podniecony klaskał w dłonie. Latające w powietrzu muchy i pełzające wszędzie robactwo nagle oszalało. Karaluchy i pluskwy, gnane jakimś złowieszczym impulsem, wpełzały spod opartych o blat mężczyzn, spadały z sufitu na stół, na podłogę, na nas. Odskokylem obrzydzony. Diabelska maszyneria doktora Sarxa nie zatrzymywała się. Muchy wirowały jak oszalałe, w ich chorym bzyczeniu słychać było podniecenie i ekscytację. Nagle, szczyt dziwacznej maszynerii rozblęsnął elektrycznym, metalicznym blaskiem,

oślepiając na moment mnie i doktora. Pojedyncze, strzelające energią wyładowania rozpełzły się po całym pomieszczeniu. Uderzały w ściany, w zasłony, w śpiących przy stole ludzi, jakby sondowały teren, jakby zbierały dane.

– Co do jasnej cholery?!

Śpiąca do tej pory kobieta wypełzła spod sterty brudnej pościeli. W migoczącym świetle kolejnych wyładowań jej twarz wyglądała wprost straszliwie. W podkrążonych, przepitych oczach, wokół których ściekały resztki makijażu, obaj z doktorem Sarxem dostrzegliśmy najwyższe niezrozumienie. Jej obwisłe piersi, jej posiniaczone, brudne ciało zaczęło mimowolnie drżeć. Usta, wokół których widać było rozmazane ślady czerwonej szminki łąpczywie łąpały powietrze. Kobieta już miała krzyknąć, gdy doktor Sarx błyskawicznie znalazł się przy niej i zasłonił jej usta swoją dłonią.

– Patrz, po prostu patrz! – krzyknął.

W świetle kolejnych wyładowań, w ich migotliwym, stroboskopowym blasku zobaczyłem oczy kobiety; wybałuszone, przesiąknięte strachem i grozą. Tuż obok jej twarzy znajdowała się owadzia głowa Sarxa. W jego szeroko otwartych oczach dostrzegłem najwyższe uniesienie. Sarx rechotał, oblizywał wąskie wargi szarym językiem i podniecony tupał nogami. – To działa, to zadziało – ryczał zadowolony i szczypał się po twarzy w ekstazie.

Nagle całe pomieszczenie zaczęło drżeć. Butelki spadły ze stołu, brud i kurz sypały się na nas z sufitu, a robactwo rozpełzło się po meblach, po mnie, po śpiących na stole mężczyznach. Generowane przez maszynę bzyczenie, dotąd cały czas przybierające na sile, nagle ucichło. Cisza, która niespodziewanie nastąpiła, prawie pozbawiła mnie przytomności. Wybudzona kobieta jęknęła przeraźliwie i straciła przytomność. Sarx podbiegł do maszyny i w pośpiechu zaczął ją rozkręcać.

Stałem w bezruchu. Diabelska maszyna doktora Sarxa faktycznie zadziałała. Oszołomiony mocą urządzenia, nie do końca rozumiałem, co tak naprawdę się wydarzyło.. Jak przez mgłę usłyszałem słowa doktora, które wypowiedział do mnie dawno temu w jednej z podrzędnych spelun, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz:

Zmierzymy upadek naszego świata, chłopcze. Będę twoim nauczycielem, a ty moim najgorliwszym uczniem, wybranem. Świat jest złym miejscem i żaden bóg nie miał w nim udziału. To zło, to upadek, to smutek, beznadzieja i rozczarowanie ukształtowały ten świat, w który bez naszej woli zostaliśmy uwikłani. Strata, zagubienie, daremność to sztandary, pod którymi bezmyślnie kroczymy do przodu. Udowodnię to. Odwiedzimy miejsca, których natura

to potwierdzi. Wyruszysz ze mną już dzisiaj. Zapomnisz o tym, co było, przestaniesz zadreć się tym, co może się wydarzyć i wyruszysz ze mną. Teraz.

– Teraz – wyszeptałem i poczułem, jak rachityczna dłoń doktora Sarxa łapie mnie za rękaw koszuli i wyprowadza na zewnątrz. W pośpiechu i po kryjomu, jak złoczyńcy opuściliśmy mieszkanie, rozgniatając pełzające nam pod nogami robactwo, i wybiegliśmy na zewnątrz. Drżącymi rękoma otworzyłem drzwi, zapakowałem się do samochodu i usiadłem na miejscu pasażera. Byłem zbyt rozdygotany, aby prowadzić. Doktor Sarx usiadł za kierownicą i spojrzał na mnie. Jego twarz pokrywały dziesiątki drobnych, zaczerwienionych śladów po uszczypnięciach, wokół których doktor nieświadomie rozsmarował drobinki krwi. Doktor Ezra Sarx popatrzył na mnie z ojcowską czułością, od której zrobiło mi się niedobrze, i tkliwie pogłaskał mnie po policzku.

– Tak, teraz – wyszeptał i przekręcił kluczyk w stacyjce.

STARE KINO

Paulina Kajoch

Gęsty deszcz bębni w przednią szybę, przez co ledwo widzę świat przed sobą. Poruszam się monotonnie, z pedałem gazu wbitym do połowy, choć auta nowobogackich mijają mnie z podwójną prędkością. Komórka leżąca na siedzeniu pasażera krótkim niskim dźwiękiem oznajmia nadejście wiadomości. Odczytuję ją mimo niesprzyjających warunków.

Spóźnię się.

Tylko tyle z jego strony. Deszcz pada coraz mocniej i mam wrażenie, że przebijam się przez kolejne ściany wody. Wzdrygam się na widok błyskawicy po prawej stronie. Gdzieś na środku pola, mimo ulewy, stodoła staje w płomieniach. Może ktoś zapomniał zakręcić kranik od baniaka z benzyną.

W końcu mijam rozmyty znak z napisem „Poznań”. O tej porze nie ma korków, więc szybko wjeżdżam do centrum miasta i usiłuję znaleźć niepłatny parking. Udaje mi się stanąć wzdłuż starych kamienic na Nowowiejskiego. Gaszę silnik i odpisuję:

Jak długo mam czekać?

Siedzę w samochodzie i przeglądam portale społecznościowe. Czekam, aż ulewa minie i będę mogła rozprostować kości. Wkrótce granatowe niebo przybiera szary kolor i pada już tylko drobny deszczyk. Chwytam parasol, torebkę, telefon i wysiadam. Jest chłodno. Czuć już tę głęboką jesień. Nie wiem, gdzie on mieszka, dlatego z nutką niepokoju, że dostrzeże mnie przez okno, przechadzam się wzdłuż ulicy. Powinnam pójść w drugą stronę, lecz najpierw muszę, a raczej chcę, coś zobaczyć.

Zaledwie kilka kroków od mojego auta staję przed zabitym deskami przybytkiem. Tabliczka z napisem „Stare Kino” kołysze się na wietrze, łańcuszek skrzypi złowieszczo. To przywołuje wspomnienia z czasów studenckich; aż mam ochotę pójść do najbliższego sklepu

po paczkę niebieskich LM-ów. Czuję lekki ból w klatce piersiowej, gdzieś w okolicy mostka, lecz szybko go ignoruję. Nie przyjechałam tu po wspomnienia. Przyjechałam je raczej zatrzeć.

W torebce rozlega się dźwięk wiadomości. Rączkę parasolki wsuwam pod pachę i szamoczę się z torebką.

Idę.

Klnę pod nosem. Nie zdążyłam sprawdzić w lusterku, jak wyglądam. Przeglądam się w szybie dawnego pubu, ale jest tak brudna, że widzę tylko czerwień swoich ust. Kiedy tak patrzę, coś przykuwa moją uwagę. Przysuwam się do szyby; niemal dotykam jej czubkiem nosa. Za ladą wśród zwisających z sufitu pajęczyn siedzi nagi sklepowy manekin. Łysą głowę opiera na ugiętej w łokciu ręce i się gapi. Mam wrażenie, że mnie obserwuje. Pot ciurkiem spływa mi po skroni i miesza się z kroplami deszczu. Od szyby odrywa mnie dźwięk pędzącego po bruku auta, które z impetem przejeżdża przez kałużę. Całe rajstopy, aż po kolana, mokre mam od błota. Kiedy ponownie patrzę przez szybę, manekina już tam nie ma.

Stare miasto najbardziej podoba mi się nocą. Pamiętam, kiedy na studiach potrafiłam włóczyć się po starówce do czwartej nad ranem. Gdziekolwiek bym nie mieszkała, nocne spacerki zawsze kończyły się w „Starym Kinie”. Nawet pięć lat później nie potrafię uwolnić się od klątwy tego miejsca, choć po jego stanie widzę, że dawno umarło; tak samo jak moje serce.

Dochodzę do Placu Wolności i rozglądam się dookoła. Kiedyś lubiłam przychodzić do księgarni i kupować książki, by zaraz potem usiąść w „Cafe da Vinci”. Silny powiew wiatru wyrzywa mnie z nostalgii, a parasolka upada na betonową kostkę. Gdzie ten cholerny artysta?

Zegar na banku wyświetla już dwudziestą pierwszą, a umówiliśmy się na dwudziestą. Strasznie nie cierpię spóźnialskich. Siadam na ławce zmarznięta, przemoczona i głodna. Jednak dla niego jestem gotowa czekać nawet do północy. Może mieć każdą, więc jeśli teraz odpuszczę, zaprzepaszczę szansę. Chętnie bym zapaliła, by zabić czas.

Mija kwadrans i zaczynam rozważać możliwość schronienia się w księgarni, lecz dostrzegam go chwilę później i już nie muszę decydować. Wychodzi z ulicy od strony Nowowiejskiego. Czyżby cały czas mnie obserwował? Może nawet widział, jak przyklejam nos do szyby obscurnego pubu?

Podchodzi blisko i w końcu widzę rysy jego przystojnej twarzy. Ma na sobie elegancki czarny płaszcz ze stójką chroniącą od wiatru. Serce łomocze mi w piersi; z trudem mogę przywitać go z kokieterijnym uśmiechem. W dodatku mam wrażenie, że rozmazała mi się szminka. Czuję w ustach cierpki smak żelaza.

– Cześć, jestem Krzysztof.

– Marcelina.

Chcę podać mu drżącą dłoń, lecz on przysuwa się i całuje mnie w policzek.

– Chyba trochę zmarzłaś. Chodźmy się gdzieś rozgrzać. Kawa, wino, piwo?

Nie wiem, jak potoczy się to spotkanie, więc w razie czego decyduję się na bezalkoholowe trunki.

– Wypiłabym gorącą czekoladę.

– Świetnie. – Delikatnie kiwa głową i zaciska wargi. To dyskretny, lecz intrygujący gest. Coraz bardziej mi się podoba. – Zaprowadzę cię do „Kawiarni u Przyjaciół”.

Wstyd przyznać, że nigdy wcześniej tam nie byłam. Pięć lat studiów to dla mnie wyrwa w towarzyskiej rzeczywistości. Wtedy nie lubiłam ludzi jeszcze bardziej niż teraz. Tylko nauka i spacer do „Starego Kina”, czasem przelotny, niezobowiązujący seks.

Krzysztof bez ostrzeżenia chwyta mnie za rękę i ciągnie wzdłuż zalanych ulic. Światła przydrożnych lamp odbijają się w kałużach. Tak pięknie pachnie poznańskie powietrze, że zaciągam się nim, jak kiedyś zaciągałam się papierosowym dymem. Pierwszy dym z kominów, zapach spalin, kwaśny deszcz. Zawsze lubiłam się truć.

Idziemy, a ja nie poznaję ulic, bo czuję się jak po mocnym narkotyku. Jestem oczarowana zapachami, które wżerają się w nozdrza. Czuję też wyraźnie jego perfumy; narkotyczne, powalające. Pozwalam, by mnie prowadził i nie przeszkadza mi nawet deszcz, który coraz mocniej uderza w rozpostarte nad naszymi głowami parasole.

W końcu stajemy przed wejściem do ogrodu przy kawiarni. Lampy oświetlające ganek tlą się ciepłym żółtym światłem. Krople deszczu grają na liściach drzew i krzewów. Gdzieś przy murze, pod jednym z okien, rośnie glóg. Mam wrażenie, że wokół niego tańczy półprzezroczysty kształt, lecz to tylko gruby kot. Futrzak siada pod markizą z liści. Jego cień jest nienaturalnie długi i wysoki, a na dodatek pada w złą stronę, jakby za nic miał światło latarni. Wydaje mi się, że pełźnie po murze i wciska się w szczelinę w oknie. Ale kot siedzi nieruchomo. Nawet na nas nie patrzy. Nawet nie miauczy.

– On chyba nie żyje – mówię, wpatrując się w kocie ślepia.

Krzysztof nie słucha. Szarpie mnie za rękę i wprowadza do środka. W przedśionku bierze parasol, strzepuje z niego wodę i pozostawia do wyschnięcia obok swojego. Potem zdejmuję mój płaszcz i nonszalanckim gestem zaprasza do stolika.

W kawiarni panuje półmrok. Siedzimy oddzieleni od reszty świata bordową kotarą z weluru. Ściany zdobią zdjęcia pisarzy, dziennikarzy i aktorów oraz stare plakaty zapraszające do teatru. Nad stolikiem, który chyba kiedyś był stolikiem pod maszynę do szycia wisi łyśa żarówka. We wnęce stoi mały sekretarzyk z dwoma szufladkami. Widzę tam wystający róg kartki, który zażółcił się od światła i starości.

– Chcesz to przeczytać? – pyta, patrząc na tajemniczy kawałek papieru. – Może to jakiś list miłosny?

– Nie chcę być wścibska – mówię, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Jesteś pisarką, tak? Na tym papierze ktoś mógł zapisać swój sekret. Jak to się stało, że nigdy tu nie byłaś?

– Piszę tylko do szuflady – wyjaśniam. – Jestem optykiem.

Mruczy, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

Zamawiam gorącą czekoladę i szarlotkę z lodami, a on grzane wino. Czuję się niezręcznie, w przeciwieństwie do niego. Zajada się sernikiem i w milczeniu pije krwistoczerwony trunek. Kiedy deser znika z talerzyka, wyjmuje telefon i kładzie go na stole. Rozumiem, że chce mi coś pokazać, więc pochylam się do przodu.

– Na zdjęciach wyglądasz inaczej.

– Widzę. – Zawstydzona kłamstwem, które sprzedają w internecie, krzyżuję ramiona w obronnym geście.

– Nic nie szkodzi, taka podobasz mi się bardziej. To zdjęcie jest sztuczne. Wyglądasz na nim trochę jak gwiazda porno. – Śmieje się żywo, choć cicho, a ja czuję na policzkach, szyi i dekolcie potworne ciepło.

– Ty też wyglądasz inaczej – mówię zgodnie z prawdą. – Masz mniej niebieskie oczy, są szare i kręca ci się loki. Pewnie od deszczu, co?

– Jasne – mówi, po czym siada obok. – Powiedz mi, kózko, mogę tak do ciebie mówić? Znasz ty się trochę na sztuce?

Wstyd się przyznać, ale kojarzę tylko Picassa i Beksińskiego. I może paru innych, o których uczyli w szkole. Pamięć mam jednak dość słabą; zwłaszcza do imion i nazwisk.

– Niezbyt – odpowiadam ze wzrokiem wbitym we własne dłonie ułożone na udach. Czuję, że na mnie patrzy, więc nieśmiało na niego spoglądam. Gryzie wargę, lecz po chwili uśmiecha się serdecznie. Ma białe proste zęby i pociągającą fakturę ust.

– Może pójdziemy do mnie i pokażę ci kilka swoich obrazów?

W głowie zapala mi się czerwona lampka, jednak czy nie przyjechałam tu po przygodę? Poza tym chciałabym gdzieś wysuszyć rajstopy. Gorąca czekolada już dawno straciła rozgrzewającą moc.

Wyrażam nieme przyzwolenie, kiwając głową.

– Wspaniale! Zatem chodźmy!

Odsłania kotarę otaczającą nasz maleńki boksik i wtedy kątem oka dostrzegam okno. Dam sobie głowę uciąć, że na parapecie czai się cień czarnego kota, a na ganku przy metalowym stoliku nagi manekin wbija w nas martwe spojrzenie. Najwyraźniej coś omamiło mi zmysły. Może ten zapach, który unosi się w powietrzu, kawa i perfumy. Nie znajduję innego wytłumaczenia.

– Wszystko dobrze, kózko? – pyta Krzysztof, pomagając mi wsunąć rękę w rękaw płaszcza.

– Widzisz tego kota? – pytam, wskazując głową parapetu.

Krzysztof uśmiecha się, jakby zobaczył starego przyjaciela. Podchodzi do parapetu i głaszcze kota, prawdziwego i żywego. Chcę go zapytać o manekina, lecz gdy wychodzimy na zewnątrz, na ganku jest pusto.

Deszcz przestał padać i nad brukowanymi ulicami unosi się mgła. Czarny dym, który wylatuje z kominów starych kamienic, opada i miesza się z nią. Krzysztof kaszle i złořeeczy na czym świat stoi, ale ja próbuję zachłysnąć się tym trującym powietrzem. Idziemy w stronę Placu Cyryła. Słabo znam te rejony; nigdy nie było mi po drodze. Przechodzimy przez plac i wchodzimy na Młyńską. Niemal krzyczę na widok starej ulicznej dziwki, która mierzy mnie morderczym wzrokiem, jakby chciała ostrzec, że nie mam prawa do jej terenu. Ale przecież ja nie jestem dziwką, a już na pewno nie starą. Kawalek dalej kołysze się tanie auto.

– Stoją tu co weekend – Krzysztof szepcze mi do ucha, aż przechodzi mnie dreszcz podniecenia. Że też wcześniej nie zwróciłam uwagi na barwę jego głosu. – Wyobrażasz sobie, że to może być czyjaś babcia?

On już nie tylko mi się podoba; zaczynam go nawet lubić. Przyspieszam kroku i chwytam go pod ramię, by poczuć się bezpieczniej, jednak po chwili stajemy pod żelazną bramą. Jest ciemno i nie widzę wyraźnie twarzy Krzysztofa, ale nie sposób nie zauważyć fluorescencyjnego napisu na ścianie pod domofonem:

Tu mieszka świnia.

– To o tobie? – pytam półżartem, mając nadzieję, że się nie obrazi.

– Nie znam większej świni, która tu mieszka. Kobiety bywają zazdrosne.

Uśmiecham się mimowolnie, bo chociaż miał przede mną wiele dziewcząt, wziął do siebie również mnie. Czuję się atrakcyjna i wyjątkowa.

Otwiera bramkę i wchodzimy na dziedziniec, na środku którego rośnie młode drzewo. Z budki na śmieci dobiega odgłos drapania.

– To tylko szczury.

Wzdrygam się na samą myśl o tych brudnych szkodnikach.

Wchodzimy do budynku, a potem krętymi drewnianymi schodami na górę. Krzysztof idzie za mną. Czuję jego wzrok na poślaskach i nogach, chociaż zakrywa je długi płaszcz. Nic nie rozbudza pożądania bardziej niż wyobraźnia.

– To tutaj.

Cieszę się, bo jestem tak zdyszana, że ledwo mogę wspinać się z gracją. Krzysztof mija mnie płynnym ruchem i kluczem otwiera drzwi do bocznego skrzydła. Wchodzimy do wąskiego korytarza, gdzie oślepia nas białe światło nowoczesnych lamp. Mijamy dwie pary drzwi po obu stronach, zatrzymujemy się przed czternastką, niemal na samym końcu korytarza. Dalej są jeszcze tylko jedne drzwi, lecz sądząc po rozmiarach korytarza, to pewnie małe pomieszczenie gospodarcze.

Krzysztof zaprasza mnie do swojej, jak to nazywa, jaskini. Ja w myślach określam ją raczej norą. Kawalerka jest naprawdę niewielka. Dużą część zajmuje łóżko przykryte bordowo-czarną pościelą. Brakuje firanek, brakuje stołu do jedzenia, a biurko zavalone jest przyborami do malowania i sprzętem grającym. Kuchnię udaje mała wnęka z przenośną kuchenką na prąd. Po podłodze walają się śmieci i wyschnięte od farb kawałki płócien oraz ręczniki kuchenne. Nie komentuję bałaganu, bo moją uwagę od niego odwracają wiszące na białych ścianach dwa obrazy nagich kobiet.

– Podobają ci się? – pyta, ujrawszy zachwyty na mojej twarzy. – Tworzę tryptyk. Może zostaniesz tą trzecią. – Zastanawia się na głos.

Podchodzę bliżej, choć łóżko mi to utrudnia. Modelki leżą w różnych pozycjach z zakneblowanymi ustami, ręce i nogi mają związane na różne sposoby. Obie namalowane są w odcieniach bieli i czerni. Pozycje kobiet są okropne, odsłaniają wszystko, ale trzeba przyznać, że Krzysztof jest wybitnym artystą.

– Tak, obrazy są piękne – mówię szczerze. – Mogę się gdzieś odświeżyć? – Nie wiem, czy to wina obrazów, czy jego perfum, ale z każdym oddechem podniecenie narasta we mnie.

– Tu jest łazienka. – Otwiera drzwi za moimi plecami. Wcześniej nawet ich nie zauważyłam.

Pomieszczenie jest stosunkowo duże w porównaniu z resztą kawalerki. Dużą część zajmuje prysznic oraz wysoka biała szafka. Spoglądam w lustro nad umywalką i jęczę. Tusz spływa po policzkach, tworząc oczy pandy. Szminka faktycznie się rozmasała, zęby mam dziwnie czerwone, chociaż to nie jest odcień czerwieni mojej pomadki. Cały czas czuję w ustach smak krwi. Cholera, nie wzięłam torebki, a już nie chcę po nią wracać. Szukam więc czegoś do poprawy makijażu, jakichś wacików czy patyczków. Otwieram szafkę wiszącą nad umywalką. Na półeczkach stoją podstawowe przybory do higieny, jest nawet otwarty płyn do demakijażu. Krzysztof chyba dość często przyjmuje gości, którzy już nigdy tu nie wracają, nawet po swoją własność.

Zmywam oczy pandy i nakładam krem. Droga marka, więc nabieram tylko trochę. Potem odświeżam resztę ciała i już chcę wyjść, kiedy trącam coś ręką. Z jękiem patrzę w dół. Na podłodze leży rozbity słoiczek z wazeliną. Na szczęście Krzysztof nie słyszy tłuczonego szkła. Muzyka w pokoju leci dość głośno. Zbieram szkło i próbuję zetrzeć wazelinę z podłogi, jednak sam papier nie wystarcza. Otwieram szafkę, bo mam nadzieję, że znajdę tam płyn do podłóg lub cokolwiek innego do mycia powierzchni. W większości domów takie rzeczy trzyma się właśnie w łazienkowych szafkach. Ale nie tutaj. Zamiast płynu znajduję zestaw do wyuzdanego seksu: żele intymne, prezerwatywy w różnych smakach, barwach i wielkościach, pudełko jednorazowych rękawiczek, gruszkę do nosa, dildo, kulki analne, kajdanki, jeszcze więcej wazeliny i rzeczy, których przeznaczenia nie znam i chyba nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić. Klęczę na podłodze i zasłaniam usta. Boże, co on chce ze mną zrobić. Chyba nie jestem gotowa na taki ostry seks. Te obrazy na ścianie, myślę. Dyptyk nagich kobiet. Biorę do ręki dildo i myślę, że skoro ludzie to lubią, to nie może być takie straszne.

Kiedy wychodzę z łazienki, Krzysztof siedzi na skraju łóżka i gra na gitarze. Nie dość, że maluje, to jeszcze gra.

– Jest piękna – mówię, bo faktycznie w jego dłoniach instrument wygląda naprawdę bosko. Potem z niepokojem patrzę na dyptyk.

– Chcesz, żebym ciebie też namalował?

Odkłada gitarę i mam wrażenie, że jego wzrok się zmienił. Już nie jest taki łagodny jak przedtem. Mam przed sobą wilka.

Serce łomocze mi w piersi, a kiedy Krzysztof bez słowa chowa się w łazience, przechodzi mi przez głowę myśl: a może stąd uciec? Woda leci z kranu; to ostatnia szansa, by się stąd wyrwać. Już sięgam po płaszcz, kiedy słyszę pukanie zza ściany, po drugiej stronie łóżka. Zamieram. Pukanie jest słabe, jakby ktoś uderzył raz, zatrzymał pięść na ścianie i ociężałe przesuwiał ją w dół, aż opadnie. Potem słyszę jeszcze inne dźwięki, jakby szepty,

lecz nie rozumiem słów. W tym czasie Krzysztof wychodzi z łazienki i obejmuje mnie od tyłu. Moje ciało jest sparaliżowane. Nie mogę się ruszyć. Sama nie wiem, co niepokoi mnie bardziej: perspektywa mocnego seksu czy głosy zza ściany.

– Chcesz tego, kózko? – szepcze mi do ucha tym swoim głębokim basem, podnosi mój podbródek, każe patrzeć na dyptyk. – Chcesz być taka jak one?

– Chcę.

To miejsce chyba tak działa na kobiety. Zapach nieupranej pościeli, jego głos, obrazy, a może zapach farb mnie otumania? Albo jakiś zły duch...

Krzysztof obraca mnie twarzą do siebie, a potem sadza na skraju łóżka. Rozpina spodnie i szybko wkłada mi członka do ust. Nie byłam przygotowana na jego wielkość, a on wciąż rośnie we mnie. Narusza migdałki, i niemal się krztuszę, ale on nie odpuszcza. Chwyta moją głowę i kontroluje ruchy. Ciągnie za włosy trochę za mocno. Czuję, że z oczu ciekną mi łzy, rozmazując resztki tuszu. Gdy wchodzi zbyt głęboko, biję go pięścią w brzuch. Niechętnie wyciąga członka z moich ust i dopiero wtedy łapię oddech.

– Jeśli nie chcesz, to powiedz.

Rozczarowany patrzy na mnie z góry i widzę, że mimo tych słów odmowa nie wchodzi w grę. Najgorsze jest jednak to, że wcale nie chcę odmawiać, choć strach, a może podniecenie, sprawia, że cała drzę.

– Chcę – mówię pewnie. Chwytam go obiema dłońmi i zaczynam pocierać coraz mocniej, a on mruczy z zadowoleniem.

Bawię się i czuję, że świat wokół wiruje, a pokój kręci się w kółko. Po chwili zabawy Krzysztof odwraca mnie na brzuch, podnosi spódniczkę i zdziera ze mnie rajstopy oraz majtki. Następnie znika w łazience i słyszę, jak wyjmuje z szafki erotyczne zabawki.

Ktoś po drugiej stronie drapie w ścianę i jęczy. Trudno mi rozpoznać, czy to jęki rozkoszy, czy bólu. Krzysztof wraca, ale ja nawet na niego nie patrzę, tylko czekam i próbuję wsłuchać się w dźwięki zza ściany.

Kiedy on zakłada prezerwatywę, pytam, czy też słyszy.

– Wydaje ci się, to mój magazynek na płótna i farby. Nikogo tam nie ma.

Szepty i jęki na chwilę ustają, lecz gdy tylko Krzysztof agresywnie we mnie wchodzi, słyszę je ponownie. Trudno mi rozróżnić, czy to są ich głosy, czy mój krzyk.

Krzysztof robi ze mną, co chce, a ja mu się poddaję. Bierze mnie na różne sposoby, czasem każe przejąć inicjatywę. Kończy, przygniatając mnie tak, że ledwo mogę oddychać, a krzyk tłumi wilgotna od śliny i łez poduszka. Nigdy nie przeżyłam czegoś równie bolesnego i mocnego. Mówi się czasem, że gdy kobieta doznaje orgazmu, jej dusza wznosi się ku niebu.

Moja powędrowała przez wszystkie kręgi piekielne aż na samo dno, gdzie rozbiła się w drobny mak jak kryształowy kielich.

Nie wiem, jak długo leżę w bezruchu. On w tym czasie znika za drzwiami łazienki, by po chwili wrócić z grubym sznurem w dłoniach.

– Połóż się na boku – mówi i czeka, aż wykonam rozkaz.

Kładę się, jak mi kazał, związuje ręce i nogi.

– Ałć!

Nic nie odpowiada, tylko się uśmiecha.

– Dobra kózka, teraz cię naszkicuję.

Rozstawia sztalugę z płótnem i klnie pod nosem na złe światło i małą powierzchnię. Mimo to szybko przystępuje do dzieła. Jego ruchy są szybkie, precyzyjne. Obserwuję go, bo nie mam siły na nic więcej. Chcę zamknąć zmęczone powieki, ale moją czujność pobudzają kolejne dźwięki zza ściany.

– Słyszysz? – pytam, lekko unosząc głowę, by odsłonić drugie ucho.

– Mówiłem ci, żebyś siedziała cicho? - Jestem w szoku, kiedy podchodzi do mnie i wymierza mi policzek. – Zamknij się, szmato, bo skończysz jak one.

One.. kim są te one? Kobiety z obrazów, czy mary zza ściany? A może jedno i drugie. Żałuję, że nie uciekłam wcześniej.

Leżę już chyba kilka godzin. Prawie nie czuję własnego ciała. Czuję tylko w ustach smak krwi zmieszany z jego smakiem. Czuję też zastygłą, lepką ciecz między udami. Nie byłam dziewicą, ale wchodził tak mocno, że mnie pokaleczył. Wszystko mnie boli. Nie mogę się ruszyć, by spojrzeć na zegarek. Nie mam żadnego planu ucieczki. Chyba się poddałam. Dźwięki zza ściany w końcu milkną i dopiero wtedy odczuwam prawdziwy niepokój. Zaraz wszystko się skończy. Już niemal świta, kiedy Krzysztof masuje swój kark.

– Na dzisiaj kończymy, kózko. Teraz pójdziesz ze mną.

Rozwiązuje sznury i czuję lekką ulgę.

– Pić – mówię błagalnie. Chcę wypłukać plugastwo z ust, nie tylko ugasić pragnienie.

Krzysztof nie odpowiada na moją prośbę. Próbuje postawić mnie na nogi, lecz jestem zbyt zmęczona. Upadam na podłogę, więc chwytą mnie za poranione od sznura kostki i ciągnie po szorstkiej podłodze. Jeszcze wilgotne od farby papierowe ręczniki płaczą mi się we włosach i przyklejają do skóry. Krzysztof wychodzi na korytarz i skręca w lewo. Już wiem, gdzie zaraz trafię.

Ląduję w ciasnym pomieszczeniu bezwładnie jak kukła. Pachnie tu olejną farbą, naftą, terpentyną, rozpuszczalnikiem, a nawet chloroformem. Coś zimnego dotyka mnie w ramię, lecz w tej ciemności nie widać nawet białek oczu. A może ich oczy już dawno straciły blask? Przypuszczam, że jestem trzecia. Teraz artysta może skończyć swój tryptyk.

Nie wiem, jak długo leżę w magazynku. Dwie kobiety, z którymi dzielę przestrzeń straciły mowę. Nie są martwe fizycznie, ale z pewnością nie są już ludźmi. Przez cały ten czas mam tylko kilka okazji, by na nie spojrzeć. Bywa, że artysta wchodzi tu po kawałek płótna lub farbę, lecz światło tak razi mnie w oczy, że nie mogę ich szeroko otworzyć, by zobaczyć współlokatorki.

Artysta traktuje nas jak szmaciane lalki. Kiedy czegoś szuka, przekłada nas, popycha nogami. Niemal nie daje jeść ani pić. Ale ja nie czuję ani głodu, ani pragnienia.

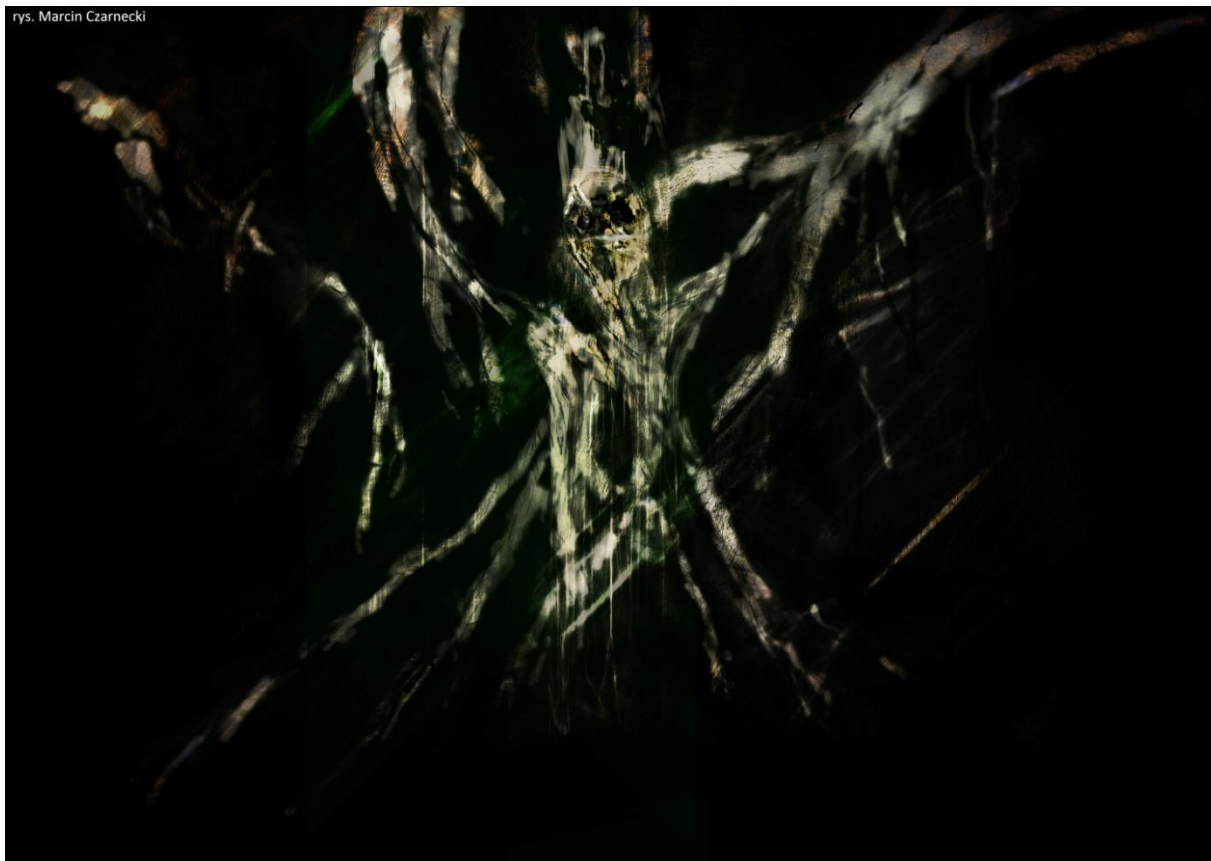
– Chciałabym stąd uciec. Moje auto! – Przypominam sobie pewnego dnia. – Zostawiłam je na płatnym parkingu, bezpłatny jest tylko w weekendy! Nie wypłacę się za mandaty! – mówię przeciągle, lecz one nie odpowiadają. Mruczą coś tylko niezrozumiale. Potem znów przez kilka dni milczymy.

- Pięknie was namalował – wyznaję kilka tygodni później, rozpamiętując swoje życie sprzed magazynku. – Chciałabym zobaczyć ten tryptyk w całości. Chcę zobaczyć, jak mnie namalował. Wy nie jesteście ciekawe?

To niemożliwe, kózko – słyszę w głowie jego głos. A więc zwariowałam. Wszedł już nie tylko w moje ciało. Mija wiele, wiele dni w ciemności. O tym, że straciłam wzrok dowiaduję się, słysząc przekręcanie klucza w zamku. Czekam na rażące światło z korytarza, lecz nic nie widzę, chociaż wiem, że artysta tu węszy. Popycha mnie, siłą przerzuca na drugą stronę i bierze coś z miejsca, na którym siedziałam. Później przestaję czuć intensywne zapachy farb i innych chemikaliów. Na końcu tracę słuch. Kukły obok mnie chyba już dawno nie żyją. Marznę, ale w końcu przestaję czuć chłód.

Nie wiem, jak się tu znalazłam; może to właśnie jest droga do nieba. Idę wąskim szybem wentylacyjnym, potem spadam. Czołgam się po czymś lepkiem i mokrym. Okruchy ziemi lecą mi na głowę. Moja podróż kończy się w zakurzonej pubie, więc raczej trafiłam do

piekła. Przyjechałam tu zatrzeć wspomnienia, a one przywiodły mnie z powrotem do miejsca, gdzie pękło moje serce. Chodzę po „Starym Kinie” i odtwarzam w pamięci nasze spotkania. To tutaj zaczęła się i skończyła wielka miłość. Potem zostały nocne spacery i przelotne romanse. Uchylam drzwi od męskiej toalety. Nasze inicjały wciąż są wyryte na drzwiach kabiny. Kiedy kończę zwiedzanie, siadam przy barze. Beczki z piwem są puste, lecz na półkach stoi kilka otwartych butelek. Znajduję starą whiskey i piję prosto z gwinta. Nie czuję smaku. Zrezygnowana, podpieram głowę na ręce i patrzę na ulicę. Przed pubem stoi dziewczyna w czerwonym płaszczu i się gapi. Gapi się tak bardzo, że aż przykleja nos do szyby. Wygląda znajomo, ale szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Ktoś woła mnie z zaplecza. Słyszę też miauczenie kota. Dziewczyna za oknem chyba już się mną nie interesuje. Wstaję więc ociężale i znikam za niebieską kotarą z weluru.



STARZY ZNAJOMI ZAWSZE WRACAJĄ

Igor Kręt

Rozlałem mrok na swoje istnienie. Nie byłem tego świadomy, dopóki nie pojąłem, że świat wokół staje się zgniłą wydmuszką wcześniejszej kreacji. Odcina kupony od lepszej wersji, a ja na to pozwalam, ślepy, gdy los rzuca pod nogi wskazówki. Mogę tylko przeklinać stracone szanse, ale nawet najgłośniejszy jęk czy krzyk frustracji nie cofnął przeszłych

wydarzeń. Po prostu nieskalana tafla rzeki zmieniła się w mulisty potok niepowodzeń, który nadal płynie miarowym nurtem, a ja razem z nim.

Kiedy się budzę, sufit przez moment patrzy na mnie przenikliwie. Szuka słabego punktu, a potem zastyga i rzeczywistość przytłacza mnie jeszcze bardziej. Nigdy nie było lekko, ale czasami zdarzały się momenty ulgi. Przerwa przed kolejnym gnojeniem faktu, że oddychasz. Teraz bieg trwa bez ustanku, a ja zaczynam tracić siły. Powoli, w panice szukając rozwiązania. Jeszcze jest czas, jeszcze jest, powtarzam jak mantrę. Myśli zastępuje prosty, statyczny baner: ZDAŻYSZ.

Jakimś cudem wplątałem się w pogrzeb znajomego. Kumpel z czasów szkolnych, tych lepszych, beztroskich. Potem nasze drogi się rozeszły, każdy zamknął ten etap życia i oddychał w innym, jeszcze gorszym. Dla Maćka finał był koszmarem na jawie. Zżarła go dziwna choroba o niewymawialnej nazwie. Wyjadła od środka, zostawiając pustą przestrzeń jak nową, jeszcze niewypełnioną piniatę.

— On by tego chciał — powiedziała Ewa, koleżanka zarówno moja jak i Maćka, gdy rozmawialiśmy na mieście.

— Będę — odpowiedziałem sucho, tak jak tego oczekiwała.

Musiałem na nią trafić. Nie widzieliśmy się od piętnastu lat. Całe wieki. Poznała mnie mimo wszystko, choć od tamtego czasu przytyłem kilkanaście kilogramów i zaprzyjaźniłem się z zakolami zakrawającymi na zdefiniowanie jako półwyspy oddzielone wąskim paskiem morza włosów.

— Wiem, że to dla ciebie trudne...

Nie, wcale nie. Wiemy to oboje, ale musisz tak powiedzieć. Tego wymaga formuła zaproszenia dawnego znajomego na pogrzeb innego znajomego, który jest jednocześnie twoim znajomym i cała trójka ni chuja nie wie, jak to rozgryźć.

Pożegnałem ją krótki i zimnym „cześć”. Mogłem wybrać opcję „Do zobaczenia”, w końcu spotkamy się na ostatniej drodze Maćka, ale mój mózg wygenerował ją z opóźnieniem, uznając pierwszą wymienioną jako najlepszą.

To już dziś, a ja, pierwszy raz kiedy żyję, mam ochotę spać i spać, do końca usranego świata. Budzik wybija dziewiątą, zrzucam kołdrę i siadam. Świat jest zgniły, ciągle. Za oknem bure chmury, ciężkie jak z ołowiu i cuchnące siarką. Poniżej nich labirynt budynków i zastępy mrówek maszerujących gdzieś, ale nigdy tam, gdzie chciałyby iść. Wlazłem w niezłe bagno, ale asertywność nigdy nie było moją mocną stroną. Dodatkowo zadziałał element sentymentu. Kiedyś lubiłem Maćka. Nie byliśmy przyjaciółmi, ale na pewno dobrymi kumplami. Kiedy każdy poszedł swoją drogą, straciliśmy kontakt całkowicie, choć już wtedy internet był całkiem popularnym sposobem kontaktu na odległość. Jak na ironię los złączył nas ponownie, choć tylko jeden zdaje sobie z tego sprawę.

Nie obawiałem się spóźnienia. Obmyśliłem genialny plan jak za jednym zamachem pojawić się na pogrzebie kumpla i jednocześnie nie musieć z nikim rozmawiać. Był prosty. Pierwszym etapem był kategoriyczny zakaz pojawienia się na mszy. Roiło się tam od wścibskich oczu, które namierzały potencjalnych, starych znajomych, aby potem, w drodze na cmentarz, wyrzygać nań całą dotychczasową biografię swojego życia, zostawiając ewentualną furtkę na koniec: „A co tam u ciebie”?

Przy bramie cmentarnej byłem już kilka minut po jedenastej. Pogrzeb trwał w najlepsze i choć mam pełną świadomość, że brzmi to cholernie dziwnie, chciałem tylko dodać, że zastanawiałem się, ile osób zgromadzonych w kościele musiało powstrzymać się od wybuchu śmiechu, gdy naszedł ich nagły atak nerwowej śmiechawy.

Za ponad stuletnimi, zależnymi wrotami rozciągał się plac porośnięty nagrobkami. Od strony wschodniej znajdowała się najstarsza część. Maciek miał zostać pochowany w grobowcu rodzinnym, wielopokoleniowym. Niedaleko niego kilkanaście lat wstecz spotykaliśmy się okazyjnie, aby wypić piwo i potłuc kilka butelek, zmuszając cmentarzowego ciecica do rzetelnego wykonywania swojej roboty. Ja, Maciek, Ewa i Jacek, który *notabene* zgarnął wszystkie łaski boskiego pieprzenia i wyleciał do Stanów. Pił z nas najwięcej, miał mocny łeb i skrzynię biegów o prostych zębach, więc gdy tankował na piątce, podobnie wrzeszczał. Czasami dołączali do nas znajomi z zawodówki, ale wtedy nasze skrzynie ustępowały miejsca ich automatom z zerowym uślizgiem.

— Cześć! Ty tutaj? — Głos, który pokrył mój grzbiet warstwą śliskiego, lodowatego kożucha nadbiegł od lewej strony. — Myślałam, że będziesz w kościele.

Ewa szła w moją stronę szybkim zdecydowanym krokiem. Zbyt zdecydowanym.

— Cześć. Miałem zadać ci to samo pytanie — wypaliłem od razu, czekając aż nieproszona znajoma z dawnych lata zmiesza się na tyle, aby dalsza rozmowa przebiegała w odstępach kwadransowych.

— Nie lubię pogrzebów. Są kurewsko smutne i dobijają mnie.

— Taka ich rola — odparłem bez przekonania.

— Może, ale jeśli wierzyć tym, co wierzą, to są tylko furtką do lepszego świata. A więc? Po co ten wyolbrzymiony smutek?

Nie przypuszczałbym, że będzie tak bezczelna w kreowaniu tematów z dupy.

— Nie jestem ekspertem. Ostatni raz w kościele widzieli mnie, kiedy zaczynaliśmy podstawówkę.

— Ja czasami chodzę. Ale nie na mszę, tak po prostu. Spokój i cisza. Mają szczelne drzwi, więc cały szum ulicy milknie.

Staliśmy pod bramą, a ja co chwilę patrzyłem na zegarek. Za dziesiątym, a może dwunastym razem wskazówki poinformowały, że za dwadzieścia minut wybije dwunasta. Ewa rozgadała się jak ten jeden wujaszek na rodzinnych spotkaniach, który w mojej rodzinie zmarł, gdy miałem siedem lat. Więc jedyne co pamiętałem to te krzaczaste, usmarowane w żarciu wąsy. Tematy lawirowały pomiędzy jej życiem, wspominkami szkolnymi i duperelami, których nawet nie słuchałem. Potrafiłem się wyłączyć, jednocześnie przytakując, gdy oddawała mi pałeczkę. Nie miałem absolutnie żadnego zamiaru dowiedzieć się, że Ewa miała trzech chłopaków, z dwoma rypała się na dworcu w nocy, a obecny jest maturzystą z naszego liceum.

— Z tego może coś być. Jest inny niż tamci.

— Mhm.

— A co u ciebie?

— W porządku.

Powoli zapominałem, że czekamy na karawan z trumną kumpla i orszakiem zapłakanych ludzi. Ewa wyglądała, jakby przyszła na spotkanie po latach ze mną, a nie na pogrzeb Maćka. Nie miała ze sobą żadnej symbolicznej wiązanki ani znicza. Po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech. Wyszczrzyła klawiaturę białych, idealnie równych zębów.

— Nie będziemy czekać — powiedziała i weszła na teren cmentarza, ruchem dłoni nakazując mi iść za nią.

Szliśmy główną aleją, mijając kilkoro ludzi ogarniających nagrobki bliskich. Wszyscy byli pochłonięci w zadumie. Ewa wyglądała na ich tle jak niepasujący element, jak błąd w systemie mapy gry.

Skręciliśmy w wąską, udeptaną ścieżkę pomiędzy starymi, metalowymi krzyżami. Zaczynałem rozumieć, gdzie idziemy. Nasze stare miejsce spotkań. Nie było ich dużo, głównie w gimnazjum i większość jawiła się dla mnie jak zamglone, naświetlone klisze starej

lustrzanki. Tylko smak najtańszych jaboli wciąż pozostawał żywy i wyraźny, a kiedy pamięć smakowa zrobiła swoje, poczułem w środku ciepło i błogość. Miałem nawet poważne wątpliwości czy aby się nie uśmiechnąć, ale głos Ewy wyrwał mnie z sentymentalnego transu.

— Pamiętasz? Nasze miejsce — powiedziała, wskazując duży, stary grobowiec zdewastowany jeszcze bardziej niż przed laty.

— No, bywało tu się kilka razy.

— Świetne wspomnienia. Byliśmy tu raz z Mackiem — zaczęła, nieco smutniej, ale wciąż zachowując na twarzy znamiona uśmiechu. — Zaprosił mnie na wspólny wieczór. Wiedziałam doskonale, że to randka, ale on tak tego nie nazwał.

Zastanawiałem się, co Maciek w niej widział? Może to te naturalne, blond włosy kończące się gdzieś w okolicach kręgów krzyżowych? A może po prostu lubił naiwne, beztroskie dziewczyny, którym do szczęścia brakuje tylko zaciętej płyty na twoich strunach głosowych: „Kocham cię, kocham cię, kocham cię...”.

— Byliście razem. Nie wiedziałem.

— Tak, ale krótko.

Chciała tego. Widziałem to w oczach. „No spytaj mnie, spytaj. Musisz mnie spytać”.

— Dlaczego?

— Nigdy mi nie powiedział. Po prostu napisał, że musimy to zakończyć.

— Dlatego tu przyszliśmy?

Uśmiechnęła się szeroko. Jeszcze szerzej niż wcześniej. Oczy zaszyły delikatną mgiełką szaleństwa, nad którą wydawała się panować tylko doraźnie.

— Brakowało nam ciebie.

Nie łudźcie się, że zrozumiałem, o co jej chodzi. Nie miałem bladego pojęcia. Wyglądała, jakby miała eksplodować nabuzowaną energią.

— Nam? — Jedyne sensowne pytanie.

Niedaleko miejsca, gdzie staliśmy, rosły dwie kilkunastoletnie tuje. Miały z pięć metrów wysokości i chyba nigdy nie były przycinane. Pełna samowolka. Zakryły doszczętnie nagrobek, który miały ozdabiać. Ewa spojrzała w tamtym kierunku, a ja za nią. Intuicja podpowiadała mi, że to cholernie głupi pomysł, ale logika była innego zdania.

— Już są! — krzyknęła, ale nikt z obecnych na cmentarzu nie zareagował.

Zza krzewów wyłoniła się znajoma postać. W pierwszej chwili pomyślałem, że to początki schizofrenii. Jak nic zbladłem. Serce podeszło do gardła, nie pozwalając przełknąć ni kropli śliny. Jacek szedł pomiędzy nagrobkami, patrząc w naszą stronę. Odpowiedziałby na uśmiech Ewy, gdyby jego szczęka miała więcej wspólnego ze stanem stałym. Poczułem, że

zapuszczam korzenie strachu. Nie mogłem się ruszyć. Od pasa w dół byłem nieruchomą kolumną.

— Kopę lat, Piotrek — przywitał się, posyłając w moją stronę oślizgłą, zgniłozieloną dłoń.

Nie miałem zamiaru jej uścisnąć, co wyraziłem zdziwionym, pełnym wątpliwości wzrokiem.

— Coś nie tak? — zapytał, udając głupiego jeszcze lepiej niż ja.

— Wszystko gra, ale miałeś być w Stanach.

Uśmiechnął się, a mój wzrok powędrował prosto w jego ponurą, pełną chwiejących się zębów jamę ustną, w której całodobowy bar otworzyła zgraja dżdżownic.

— Byłem. Ale rok temu uznałem, że to nie dla mnie.

Pokazał na szyję, po której obwodzie ciągnął się ślad sznura.

— Starzy sprowadzili mnie do Polski. Kupę siana za to dali, sporą część moich oszczędności.

Ewa patrzyła na Jacka rozpromieniona. Nie mogła dłużej wytrzymać.

— Gdzie on jest? — spytała w końcu.

Jakby specjalnie na te słowa alejką w naszą stronę zmierzał Maciek. Ten sam, którego ciało powinno leżeć, jak pierdolony Bóg przykazał, w trumnie i grzecznie zgnić w rodzinnej mogile. Wyglądał jak cień dawnego siebie. Był chudy, wręcz kościsty. Garnitur, który na nim leżał, wyglądał jak worek na śmieci przecięty na pół. Zapadnięte gałki oczne ledwo poruszały się na boki. Szedł powoli, lekko. Gdyby zerwał się mocniejszy wiatr, prawdopodobnie zwiedzałby teraz miasto z lotu ptaka, wzbudzając panikę na ulicach.

— Siemka — przywitał się ze mną.

Ponownie odmówiłem podania sobie dłoni. Miałem milion uzasadnionych powodów ku temu, ale Maciek najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że jego stan jest tym głównym.

— Kto jest w trumnie? — wypaliłem od razu. Nie zamierzałem certolić się w podchody. Pierdolony trup stał przede mną, a powinien spać smacznie w drewnianej skrzynce, gdzie go wpakowano.

— Maciek Zaborski — odpowiedział sam zainteresowany. Oczywiście kłamał, albo już od dawna nie żyłem i mój mózg zmiksował wspomnienia z koszmarami sennymi.

— Stoi przede mną. Nie pierdol, stary. Mów.

Spojrzał na mnie z dziwnym wyrzutem. Potem zwrócił się do Ewy.

— Po co go tu przyprowadziłaś?

— Jesteśmy wszyscy razem.

Słuchałem ich z coraz mniejszym poczuciem, że to, co widzę, jest realne. Miałem zamiar uciec, gdy tylko poczuję że nogi przestaną mieć śmiertelnego pietra.

— Będzie jak dawniej?

Usłyszałem to pytanie i zyskałem pewność, że mój baniak właśnie przygotowuje się do samozapłonu. Dostałem tym pytaniem prosto w ryj od trupa gościa, który wyglądał jak jebany zestaw szkolnej sali biologicznej z zakresu anatomii. Ewa spojrzała na mnie. Jej oczy stały się jeszcze bardziej mętne. Otworzyła usta. Wypłynęła z nich czarna maź przypominająca stary olej. Płynęła po brodzie i szyi, gdzie odznaczyły się sine plamy.

— Chciałam ci powiedzieć wcześniej, ale wtedy byś tu nie przyszedł. — Gdy kończyła to zdanie, wyglądała już jak tamci. Podgnięty truposz z zapadniętymi oczami.

O dziwo nie cuchnęli. Oprócz lekkiego fetoru przypominającego trochę ten znad mulistego stawu – nic a nic.

Ludzie będący na cmentarzu nie zwracali na nas uwagi. Babka sprzątająca nagrobek dziesięć metrów od nas nawet nie uniosła głowy, choć zapewne nieprędko ujrzy podobny widok za życia. Kątem oka dostrzegłem zbliżający się orszak pogrzebowy. Trumna wjechała na cmentarz w czarnym mercedesie. Żałobnicy pogrążeni w rozpaczycy szli za nią wolno i dostojnie. Rodzice Maćka i jego rodzeństwo ukrywało zapłakane oczy pod okularami przeciwsłonecznymi i kapturami.

— Kto jest w trumnie? — zapytałem ponownie.

— Ktoś, kogo znałeś — odpowiedział Maciek. — Idziesz z nami? Ewa bardzo tego chce. Nie wiem właściwie dlaczego.

— Nie. To zbyt pojebane, jak na mój łeb. Dla mnie jesteś pierdolonym trupem, a Jacek siedzi w Stanach i jako jedyny potrafi z nas wszystkich używać życia. A Ewa... nie pamiętam takiej.

Widziałem w jej oczach, że ją to zabolalo. Na swoją obronę mogę dodać, że trupy nie odczuwają bólu: ani fizycznego, ani psychicznego, więc jestem ciągle na plus. Stałem tam chwilę, patrzyłem, jak odchodzą. Cała trójka. Myśleli, że pójdę z nimi i razem będziemy rozbijać jabole jak za dawnych czasów albo opowiadać sprośne żarty o Żydach, Jasiu i Bacy. Te mocniejsze, a niektóre własnego tworu. Gdy Jacek i Maciek zniknęli za tujami, Ewa odwróciła się w moją stronę. Uniosła rękę i wystawiła środkowy palec. Był krzywy, zgniły i nie miał paznokcia.

Pogrzeb był chyba udany. Ostatecznie na nim nie zostałem. Znicz wyrzuciłem do kosza. Wróciłem do mieszkania dłuższą drogą. Nie myślałem o tym, co zaszło na cmentarzu. Wydzwaniałem do znajomych i zapraszałem na piwo. Miałem kilku i ostatecznie udało się zebrać trzy osoby. Spotkanie jest dzisiaj. Późny wieczór wkrada się do mieszkania. Za oknem stoi Ewa, Jacek i Maciek. Chcą mi dać nauczkę. Nie wątpię w to. Mam nawet pretekst, żeby do nich zejść. W końcu nie dowiedziałem się, jak umarła Ewa. Zepsuta krew, którą rzygała, niewiele mi mówi. Stoją i czekają. Musi być kwartet.